POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. **Dnia 19-go lipca 1941r.** **Rok III. Nr. 29**

W CHAOSIE PRZEMIAN

WALKA O CZŁOWIEKA

Jesteśmy oto w okresie wezbranej fali życiowej. Fala ta, nawet po zakończeniu wojny, nieprędko się uspokoi, i dużo czasu minie, zanim wróci do swego właściwego łożyska.

Walka toczy się dziś nie tylko w dziedzinie materialnej i nie tylko o sprawy materialne. Walka prowadzona jest dziś nie tylko orężem. Walka toczy się i o stare prawdy z dziedziny życia człowieka, z dziedziny jego myśli i ducha. Walka toczy się o samego człowieka, o jego wartość.

Stawka, jak widzimy, jest bardzo poważna.

W ogólnym chaosie, w którym gubi się przeciętna jednostka, rozróżniamy dziś dwie najwyraźniej zarysowywujące się główne zasady, ujmujące życie ludzkości i życie człowieka: demokratyczną i totalną. Formy ich są wielorakie; nie występują one w czystej postaci; da się nawet zaobserwować amalgamat tych dwóch form zasadniczych.

Rzućmy okiem, choć pobieżnie, na główne zarysy tych, przeciwnych sobie, biegunów.

ZASADA DEMOKRATYCZNA

Demokratyzm pozwala na swobodny nurt uczuć i myśli, na jego niczym niepowstrzymany bieg, na jego rozrost; zawsze świeży i odmładzający, powoduje przez to właściwą prężność narodu, jego żywotność. Demokratyzm zezwala na płodną współpracę z innymi narodami w ramach umów dobrowolnych, na zasadzie równości. Demokratyzm przyczynia się do zasilania i podnoszenia kultury i cywilizacji ogólnoludzkiej, ogólnoświatowej.

Zasady demokratyzmu, mające swój długi rozwój na przestrzeni życia narodów, wyrabiają jednostkę energiczną, śmiałą, przedsiębiorczą i zdobywczą w znaczeniu konstruktywnym, wyrabiają jednostkę o zdrowej inicjatywie i o zrównoważonej postawie duchowej.

Pozytywny stosunek narodu do zasad demokratycznych świadczy o jego wysokiej wartości, o bogatej psychice, o męskości i dojrzałości.

Swobodny nurt uczuć i myśli w demokratycznym ustroju życia stanowi ukrytą siłę przebojową narodu, która, jakkolwiek działa nie błyskawicznie i nie efektownie —zato jednak trwale na przestrzeni czasu.

O ile w czasie normalnym, pokojowym, ramy organizacyjne w państwach demokratycznych są szerokie, a szczegóły pozostawione swobodzie indywidualnej jednostki, jej inicjatywie i przedsiębiorczości, o tyle w chwilach niebespiecznych, przełomowych, szczególnie podczas wojny, państwo demokratyczne musi stosować pewne ograniczenia; te ograniczenia, choć krępują swobodę i inicjatywę obywateli, jednak skupiają całość pracy i wysiłku w pewnym potrzebnym kierunku, w którym każdy obywatel powinien wyładować swoją energię i swoją inicjatywę dla dobra całości spraw państwa, a tym samym i dla dobra własnego.

ZASADA TOTALISTYCZNA

Totalizm prowadzi do niewolnictwa, tylko w szerszej skali i nowocześnie ubarwionej szacie. Totalizm stanowi zaprzeczenie indywidualności człowieka: duch jego opiera się na założeniu, że jednostka, ujęta w ścisłe karby dyscypliny zewnętrznej i prowadzona przez życie w ścisłych ramach organizacyjnych, przemyślanych w najmniejszych nawet szczegółach, będzie bardziej wydajna. Zapomina się przytem o naturalnej prężności każdego człowieka, która stłumiona, wcześniej czy później będzie szukała sobie jakiegoś ujścia.

Naturalnym stanem psychicznym, stanem równowagi duchowej każdego człowieka jest poczucie mocy, które znajduje naturalne oparcie w swobodzie indywidualnej jednostki. Tej naturalnej potrzebie psychiki każdego człowieka, państwa o ustroju totalnym usiłują zadośćuczynić namiastką; jak: "nadczłowiek" w Niemczech, jak niedopowiedzenie tego samego i oparcie się na wielkości starego Rzymu—we Włoszech; wreszcie w Rosji, gdzie warstwa inteligencji była bardzo cienka i spaczona, oderwana od reszty narodu i nie umiała przez to odpowiednio pokierować jej losami,—rzekoma "dyktatura proletariatu".

Ścisła dyscyplina zewnętrzna i ścisłe ramy organizacyjne, regulując niemal każdy krok obywatela, krępując poczucie jego mocy i wypaczając przez to jego psychikę, wywołują w nim naturalny objaw:—chęć wyprostowania się psychicznego. Wskutek tego w zbiorowej duszy społeczeństwa w państwie totalnym rodzi się bunt; ten bunt jest zarzewiem groźnego wybuchu, który absolutna władza dyktatorska usiłuje stłumić przy pomocy strachu i teroru. Władza dyktatorska jednak ma swoje granice, mieszczące się w zasięgu cierpliwości ludzkiej. Zwolennicy i wyznawcy totalizmu zapominają, że i w dziedzinie psychiki człowieka panuje prawo ruchu wahadła, że im większy wysiłek człowieka na rzecz państwa, tym większa potrzeba takiego samego wychylenia w kierunku przeciwnym—w kierunku swobodnej indywidualności, bo tylko w ten sposób każdy człowiek może odświeżać swe siły do dalszej wytężonej pracy.

Totalizm daje efekty chwilowe, lecz trwale nie buduje, bo jego motorem jest teror i strach.

O POSTAWĘ CZYNNĄ

Przeciętny człowiek mało w tym wszystkim się orientuje: idzie przede wszystkim za szkodliwą propagandą, która usiłuje przeprowadzić swoje cele umiejętnymi słówkami, hasłami i różnego rodzaju pociągnięciami, działającymi sugestywnie, dobrze wiedząc, że przeciętny czytelnik lub słuchacz nie umie i nie lubi myśleć.

Stwierdzić jednak wypada, że prądy te wywołują u wielu refleks i powodują bądź chęć czynu, bądź zupełne zamknięcie się w ścisłym kręgu własnych interesów życiowych i osobistych, drobnych zainteresowań.

Prądy te, chęci, myśli i dążenia przepływają przez warstwy i odłamy warstw społecznych. Wprowadzając niepokój w ogólne życie narodowe, wprowadzają również niepokój do życia jednostki.

Tylko od człowieka zależy urządzenie i ustalenie porządku w życiu ludzkości.

Ludzkość żyje, narody oddziałują na siebie, walczą ze sobą, walczą o byt, o istnienie, walczą o dobre warunki bytu, walczą wreszcie o pierwsze miejsce na kuli ziemskiej.

Ścierają się prądy, dążenia, myśli, teorie sposobów lepszego wyzyskania bogactw ziemi, produkcji i spożycia środków handlu i wymiany bogactw naturalnych, zorganizowania i wyzyskania pracy człowieka, materialnego uszczęśliwienia człowieka.

Wydaje się, że z tego chaosu idei, myśli, uczuć i dążeń ludzkich formuje się dziś coś nowego, mglistego jeszcze w swych zarysach, coś nieznanego, coś jednak bardziej stałego, umożliwiającego normalny rozwój jednostki i całych narodów w dawnych ramach swobodnej indywidualności człowieka, w ramach dawnej idei, idei właściwej, idei wspólnego języka przy postępie ludzkości na przód, idei równości, wolności i braterstwa, tych istotnych zasad demokratyzmu.

OBOWIĄZEK KAŻDEGO

W tym ogólnym chaosie idei, w samym jego środku, znajduje się dziś bez wyjątku każdy Polak.

Wezbrana fala dziejowa wysunęła na pierwszy plan Polskę, a duch jej góruje i przewodniczy innym. Polska pierwsza stanęła do walki i walczy dalej o wolność nie tylko swoją, lecz i o słuszne prawa całej ludzkości, walczy o wolność jednostki, człowieka-obywatela.

Polska będzie wolna. Polska będzie silniejsza i będzie większa —nikt w to nie wątpi. Nie będzie również żadnych zewnętrznych przeszkód po temu.

Po wojnie jednak gmach państwowości polskiej trzeba będzie budować na nowo, znowu niemal od fundamentów, tak jak od fundamentów budowano po ubiegłych klęskach i nieszczęściach. Przy budowie tej trzeba silnych i mocnych duchem ludzi. Przy budowie tej trzeba będzie wielu takich siłaczów. Przy budowie tej potrzebni będą wszyscy Polacy, i trzeba, by każdy Polak był takim mocarzem duchowym. Nie wolno przy tej pracy nikogo pominąć, nikt nie może się uchylić od udziału w niej. Nie wolno również nikomu popełniać błędów.

W życiu narodu, jak i w życiu każdego człowieka, są chwile przełomowe. Powstają one w czasie ostrych starć w życiu. Skutki tego przełomu są w stanie pchnąć cały naród, zbiorowo, jak i każdego człowieka, w tym czy innym kierunku. Jest niebespieczny przez to, że stare hasła, stare ideały i pojęcia, stare utarte wielkości już nie są aktualne, nowe zaś nie wyłoniły się jeszcze z otwartego zewsząd horyzontu myślowego i uczuciowego.

JEDNOSTKA I NARÓD

W wojnie dzisiejszej znalazł się na przełomie swego życia nie tylko każdy Polak, lecz również znalazł się na przełomie swych dziejów cały naród polski.

Musimy wiedzieć, że istotę narodu stanowi dziedzina psychiki —uczucia i myśli. W tej dziedzinie ukształtowanie psychiki jednostki jest zależne w dużej mierze od wpływów, idących z życia zbiorowego narodu, uczuć i myśli, pragnień i dążeń ogólnych narodu. Każda jednostka oddziaływa na życie zbiorowe narodu w zależności i w stosunku wprost proporcjonalnym do swej indywidualności, w czym charakter, wola i wartości moralne mają znaczenie zasadnicze. Naród opiera się na jednostkach, toteż ideałem jest, zgodnie z zasadami demokratycznymi, równość, wolność i braterstwo; by oparcie się było równomierne. Każda jednostka jest ściśle związana z narodem, jest jego nie tylko składnikiem, lecz i podstawą.

Z tego wypływa zasadniczy wniosek, że zarówno odbudowa i budowa silnej Polski na zdrowych i mocnych podstawach, jak i spełnienie jej zadań dziejowych, jej misji historycznej, uwypuklonych szczególnie jasno i wyraźnie w wojnie obecnej, zależne jest przede wszystkim od udziału wszystkich Polaków w pracy państwowej, szczególnie w przełomowej chwili dziejowej doby dzisiejszej, a im każdy będzie mocniejszy duchem, tym cel będzie prędzej i pewniej osiągnięty. Trzeba, by wszyscy nie tylko dobrze rozumieli, czuli, lecz i zdawali jasno sobie sprawę z tego, że z trzech czynników, stanowiących o państwie (naród, obszar przez niego zamieszkały i władza państwowa) —czynnik "naród" jest podstawowym i decydującym, a stąd potrzeba zwrócenia bacznej uwagi na każdego obywatela i oparcie rozrostu i wielkości państwa na pracy każdego obywatela. Z tego zasadniczego i decydującego o wszystkim kanonu wypływa obowiązek każdego Polaka, by był mocny duchem.

TWARZĄ W STRONĘ JUTRA

Świadomość i zrozumienie tego powinny przeniknąć wszystkie warstwy i objąć dosłownie wszystkich. Świadomość ta jest pierwszym warunkiem odbudowy naprawdę silnej i wielkiej Polski, odbudowy zdrowego życia narodowego i zdrowego życia społecznego, istotnie demokratycznego, o duchu odświeżonym, a przez to posiadającego odpowiednią i ciągłą dynamikę do parcia na przód i odrobienia tego co było zaniedbane.

Świadomość ta stanowi podłoże uczuciowe, decydujące o woli zbiorowej wszystkich, o woli zbiorowej całego narodu w wytężonym marszu na przód ,by wyjść wreszcie z chaosu ogólnego na szeroką drogę, prowadzącą nie tylko do wielkości, potęgi i chwały, lecz również do dobrobytu, szczęścia i spokoju całego narodu, a więc jednocześnie do dobrobytu, spokoju i szczęścia każdego bez wyjątku obywatela.

Świadomość, że droga do wielkiej i silnej Polski prowadzi przez mocnego duchem człowieka-obywatela, świadomość że Polska należy do wszystkich Polaków, do wszystkich jej obywateli czujących po polsku—dyktuje trzy warunki, od których spełnienia zależy moc i wielkość Polski.

I. Obowiązkiem państwa jest dać możność zdobycia odpowiednich podstaw materialnych każdemu obywatelowi.

II. Obowiązkiem każdego obywatela jest być mocnego ducha.

III. Obowiązkiem państwa i społeczeństwa jest wychować obywatela.

Półkozic

Fragment obszerniejszej całości: "Polak i przyszła Polska", który się niebawem ukaże w druku.

ROZKAZ Z OKAZJI WRĘCZENIA SZTANDARU LOTNICTWU POLSKIEMU

Lotnicy!

Z prawdziwą dumą żołnierską wręczam Wam sztandar ufundowany Polskim Siłom Powietrznym przez Naród. Wykonały go patriotki polskie w najtrudniejszych warunkach w kraju, w jednym z najbliższych naszemu sercu miast polskich, którego mieszkańcy potrafili następnie przesłać go na moje ręce do Londynu.

Sztandar ten, na którym widnieją drogie każdemu z nas symbole: "Bóg—Honor—Ojczyzna" jest wyrazem wdzięczności oraz uznania, jakie nasz naród żywi dla Was, za Waszą nieskazitelną, ofiarną i twardą służbę żołnierską na froncie. Służbę tę pełniliście podówczas, gdy Polska była mocarstwem. Pełnicie ją równie dzielnie i ofiarnie dzisiaj, walcząc razem ze sprzymierzonymi Królewskimi Siłami Powietrznymi i, bijąc się o utraconą chwilowo niepodległość.

W kraju stawialiście mężnie opór druzgocącej, bo liczebnej i technicznej przewadze wrogów. Okryliście już w Polsce chwałą lotnictwo polskie, zadając równocześnie przeciwnikowi poważne straty materialne. We Francji dla braku sprzętu nie wykorzystano w czas ani w pełni Waszego doświadczenia, ani Waszej siły. Wielka Brytania uznała Wasze cnoty i Wasze doświadczenie bojowe i w najcięższym momencie wojny, mogąc dać sprzęt, zwróciła się do Was z apelem. Odtąd bierzecie udział jak najczynniejszy we wszystkich bitwach powietrznych o Londyn, o Wyspy Brytyjskie, o Atlantyk. Pospołu z Lotnictwem Królewskim podejmujecie śmiało wyprawy na kontynent. Czynicie głośnym imię lotnika polskiego w całym świecie.

Stało się ono dzisiaj synonimem odwagi, orlej zręczności, błyskawicznej decyzji, rycerskości i lojalności koleżeńskiej. W najkrytyczniejszym dla nas wszystkich okresie, byliście wyrazem niezachwianej wiary w ostateczne zwycięstwo, pieczętując je często swoją krwią serdeczną. Umocniliście przez to na duchu naród, który nie ugiął się ani na chwilę przed brutalnym i barbarzyńskim najeźdźcą. Jego to uczuć jestem tłomaczem, wręczając Wam ten sztandar, który prowadzić Was będzie zawsze po drodze sławy do zwycięstwa, które da nam wolną, wielką i na najszlachetniejszych ideałach zbudowaną Polskę.

NACZELNY WÓDZ i MINISTER SPRAW WOJSKOWYCH

—S i k o r s k i Generał Broni

Islandia

Zajęcie Islandii przez wojska amerykańskie jest jednym z rozstrzygających momentów w obecnej wojnie.

Ta daleka mroźna wyspa mało jest znana. Mieszkańcy jej, potomkowie Wikingów skandynawskich, o czystości rasy, która Goebbelsa powinna doprowadzać do szału—byli odważnymi żeglarzami, ale w wiekach ostatnich nie odgrywali roli w historii świata. Islandia miała co prawda jeden z najstarszych parlamentów świata, ale mimo to przez cały wiek XIX była po prostu prowincją duńską.

Jednak poczucie odrębności nie wygasło i przy nowym urządzeniu Europy w roku 1918 Islandia wywalczyła sobie niepodległość. Król duński utrzymał koronę, unia Islandii i Danii stała się jednakowoż unią czysto osobistą. Islandia miała swój odrębny parlament, swój odrębny rząd, swe odrębne przedstawicielstwo dyplomatyczne, tak np. że w Londynie na jednej ulicy jest poselstwo duńskie, a zupełnie gdzie indziej poselstwo islandzkie.

Po zajęciu Danii przez Hitlera Islandia natychmiast wyciągnęła wnioski z tej sytuacji. Dnia 10 kwietnia 1940 roku parlament islandzki uchwalił, że wobec niemożności sprawowania władzy królewskiej przez króla, rząd islandzki obejmuje prerogatywy królewskie. Dnia zaś 10 maja na Islandii wylądowały wojska brytyjskie celem obrony jej przed napadem niemieckim.

Dziś warta zostaje zluzowana—miejsce Brytyjczyków zajmują Amerykanie. Garnizon brytyjski wynosił 80,000 żołnierza. Tyle więc żołnierza i broni zostaje tym samym zwolnione dla walki na innych terenach. Już sam ten fakt ma znaczenie. Jednak powiększenie składu armii brytyjskiej będącej do dyspozycji w Europie i Afryce o pięć dywizji ma znikomą wagę w porównaniu z innymi elementami, związanymi z objęciem straży na Islandii przez wojska Stanów Zjednoczonych.

Przede wszystkim bowiem sama możność ataku niemieckiego na Islandię staje się obecnie wątpliwa. Póki na Islandii byli Anglicy sprawa ataku na Islandię była jedynie sprawą rachunku strategicznego. Dziś, gdy strzegą jej wojska amerykańskie, atak na Islandię oznaczałby bezpośrednie wypowiedzenie wojny Stanom Zjednoczonym, to jest to, przed czym Hitler wciąż jeszcze się waha. Zresztą Stany—w razie gdyby Hitler na taki atak poszedł—są w możności dużo skuteczniej bronić Islandii, niż Wielka Brytania. I wojsko i marynarka Stanów bowiem nie są zmuszone do oszczędzania swych sił ze względu na inne fronty. Można śmiało stwierdzić, że fakt, iż to sztandar gwiaździsty, a nie Union Jack powiewa dziś nad Reykjavikiem przekreślił możność usadowienia się Niemców na Islandii.

Mówiłem, że garnizon brytyjski wynosił 80,000 żołnierza. Jeżeli w najkrytyczniejszym czasie rząd brytyjski zdecydował się na uwięzienie na odległej wyspie tak licznych oddziałów wojskowych, to już sam ten fakt wskazuje na wagę, jaką Islandia posiada. Jest ona dzisiaj koniecznym etapem dla wszystkich niemal transportów ze Stanów, które idą tą właśnie północną drogą. Niemcy usadowione na Islandii, niemieckie łodzie podwodne w portach islandzkich to groźba śmiertelna dla tej linii życiowej, która jest Atlantyk.

Ale na tym zabezpieczeniu drogi nie wyczerpuje się jeszcze znaczenie objęcia Islandii przez Stany. To co powiemy teraz nie było co prawda wyraźnie zapowiedziane przez Roosevelta, ale wynika z jego oświadczeń. Porty islandzkie są obecnie portami amerykańskimi. A więc—i to Roosevelt powiedział wyraźnie—do portów tych mogą zdążać okręty amerykańskie. Czyli, że zwalnia się znaczna część angielskiej floty handlowej. Islandia leży mniej więcej o 2,400 mil od brzegów Ameryki, a jedynie o nieco więcej niż 900 mil od Szkocji. Jeżeli więc broń będzie szła aż do Islandii okrętami amerykańskimi, i tam dopiero nastąpi przeładunek na okręty angielskie to oczywiście te okręty angielskie będą mogły zrobić nieskończenie większą ilość rejsów.

Roosevelt jednak nie dopowiedział drugiej połowy, jeszcze ważniejszej. Droga między Stanami a Islandią była tą drogą, na której zawsze czatowały łodzie podwodne niemieckie. Okręty więc handlowe musiały być zawsze eskortowane przez okręty wojenne. Znaczna część floty wojennej brytyjskiej, tej floty od której zależy wynik bitwy na Atlantyku, była więc stale unieruchomiona na trakcie Stany Zjednoczone—Islandia.

Ponieważ teraz okręty amerykańskie będą transportowały broń z jednego portu amerykańskiego do drugiego—wydaje się logiczne, że bezpieczeństwo tych transportów powinno być zapewnione przez amerykańską marynarkę wojenną. Ten pogląd podziela zresztą nie kto inny, jak Winston Churchill, który ostatnio oświadczył w parlamencie, że zapewne flota brytyjska dopomoże flocie Stanów w strzeżeniu tej drogi. Jeżeli tak jest, to oznacza to znowu zwolnienie znacznej części floty wojennej angielskiej, która w znacznie wzmocnionym składzie będzie mogła strzec jedynie pasa 900 milowego zamiast pasa przeszło 3,000 milowego.

To samo oświadczenie Churchilla dorzuciło jeszcze nowy element. Część sił brytyjskich pozostanie na Islandii. Churchill oświadczył, że te wojska mające wspólny cel będą musiały uzgodnić swe działanie. Tak więc na terenie Islandii mamy już w tej chwili przymierze wojskowe amerykańsko-brytyjskie.

Roosevelt oczywiście uzasadnia swe posunięcie tym, że działa w interesie obrony Stanów Zjednoczonych, że Niemcy usadowione na Islandii byłyby ciągłą groźbą dla kontynentu amerykańskiego. Niewątpliwie tak jest. Jednakowoż zajęcie Islandii, nawet jako przedsięwzięcie czysto obronne, wykracza daleko poza ramy klasycznej doktryny amerykańskiej t.zw. doktryny Monroego. Doktryna ta bowiem twierdziła, że Stany nie mogą dopuścić do usadowienia się jakiegokolwiek mocarstwa europejskiego *na zachodniej półkuli*. Islandia zaś jest na półkuli wschodniej.

Dalej, zajęcie Islandii nieuchronnie przywodzi na myśl mowę Roosevelta z 27 maja. W mowie tej Roosevelt oświadczył, że są pozycje, których objęcie przez wrogie państwo stanowiłoby nieznośną groźbę dla Stanów i wymienił wtedy Grenlandię, Islandię, wyspy Cap Verde, Azory, wyspy Kanaryjskie i Dakar. Otóż dwa punkty, Grenlandia i Islandia już mają garnizony amerykańskie. Niepodobna więc wykluczyć, że w pewnym momencie sztandar gwiaździsty może załopotać i nad pozostałymi.

Prawda, że sprawa będzie bardziej skomplikowana. Islandia została objęta na mocy układu z rządem islandzkim, gwarantującego niepodległość Islandii, nie wtrącanie się do spraw wewnętrznych i wycofanie się załogi amerykańskiej po wojnie. Co do Grenlandii—mimo sprzeciwu rządu duńskiego—gubernator również zgodził się na wejście armii amerykańskiej, uzasadniając nieuwzględnienie instrukcji kopenhaskich tym, że rząd duński jest właściwie w niewoli niemieckiej.

Tymczasem Cap Verde i Azory są posiadłościami portugalskimi. Rząd w Lizbonie natychmiast po mowie majowej zaprotestował w Waszyngtonie i otrzymał uspakajające zapewnienia. Oznacza to, że sytuacja musiałaby ulec zmianie, zanim by rząd portugalski podpisał umowę, podobną do umowy islandzkiej, albo też, że zajęcie tych wysp musiałoby nastąpić *wbrew* woli Portugalii. O tym zaś, żeby czy Franco, czy Pétain zgodzili się na zajęcie Wysp Kanaryjskich czy Dakaru marzyć nawet nie można.

Jednakowoż Roosevelt nie rzuca słów na wiatr. Krok za krokiem, z żelazną i nieubłaganą konsekwencją Franklin Delano Roosevelt urzeczywistnia swój program pomocy dla Wielkiej Brytanii, spełnia obietnicę, że nie tylko Stany będą produkowały broń dla nas, ale że nie dopuszczą do tego, by broń ta była w drodze zatopiona. Można mieć pełne zaufanie, że z tą samą żelazną i nieubłaganą konsekwencją wielki Prezydent Stanów Zjednoczonych urzeczywistni i tę drugą, większą, obietnicę: że nigdy nie dopuści do zwycięstwa hitlerowskiego, jakiekolwiek by to miało kosztować ofiary.

Czesław Poznański

PO ROKU

Dzisiejszy numer "Polski Walczącej" jest numerem rocznicowym. Mija rok odkąd wznowiliśmy nasze wydawnictwo na ziemi Wielkiej Brytanii. Zaczynaliśmy wówczas swą pracę od początku po okresie dezorganizacji po klęsce Francji, tak, jak i nasza armia przybywająca do Wielkiej Brytanii rozpoczynała w Szkocji prawie od nowa swą pracę odbudowy.

Dziś, po roku, jeśli osiągnęliśmy pewne wyniki w naszych staraniach poświęconych polskiemu żołnierzowi, lotnikowi i marynarzowi—zawdzięczamy to w dużej mierze ich zrozumieniu trudnych początków naszych usiłowań. Ich słowa zachęty, opinie i wreszcie współpraca dodały nam otuchy, że nasze dążenia i nasze wysiłki nie idą w pustkę niezrozumienia i obojętności.

Dziś więc, po roku nadal razem jesteśmy w szeregu tych, których hasłem jest WALKA O POLSKĘ a imię POLSKA WALCZĄCA.

Elementy "Blitzkrieg'u"

Było by rzeczą bardzo ciekawą śledzić wojskową myśl francuską na tle tej wojny. Oczywiście już po kampanii francuskiej, albowiem do tego czasu doktrynalne zaślepienie, które utarło się nazywać "kompleksem Maginot," nie pozwalało Francuzom na właściwe refleksje mimo doświadczeń kampanii polskiej. W powtórzenie się ich nie chciano wierzyć w odniesieniu do frontu alianckiego, albowiem przeniesienie Blitzkriegu na warunki frontu zachodniego nie wydawało się możliwe. Ta dziwna pewność siebie udzielała się i nam w sposób naturalny, nie znaliśmy bowiem wielu prawd, m.in. o samolotach, liczonych na . . . dziesiątki bombowców.

I dziś jeszcze obawa przed wojną, która może się powtórzyć, zaciemniać się zdaje jasność sądów po tamtej stronie kanału La Manche, z nad którego do uszu Francuzów dochodzi straszliwy huk bomb brytyjskich. Z drugiej strony urzekać musi Francuzów oglądana codziennie "na własne oczy" potęga sił zbrojnych niemieckich, jakkolwiek dostrzegają oni co raz więcej rys na duchu tych wojsk. Trudno się dziwić zatym brakowi bezstronności w poglądach francuskich, zwłaszcza jeśli się doda nieotrząśnięcie się po nieprzewidywanej klęsce i ciężkie położenie wewnętrzne, między młotem szalonych ambicji admirała Darlan'a a kowadłem rosnących wrogich uczuć przeciwko Niemcom. Nie mniej jest rzeczą interesującą poznać, co myśli jeden z doskonałych krytyków wojskowych francuskich, gen. Duval, którego notatki czytaliśmy przed rokiem na ziemi francuskiej. Rozporządzamy jego artykułami z dni od 6 do 11 maja, a więc z przed awantury kreteńskiej. Nawiasem mówiąc gen. Duval przewidywał trafnie ten kierunek uderzenia niemieckiego. Najciekawsze są poglądy gen. Duvala na sposób prowadzenia wojny. W jego przekonaniu postęp został dokonany głównie dzięki dwu wynalazkom; silnika i radia.

"Silnik—pisze gen. Duval—pozwolił na zastosowanie czołga i samolotu, które odpowiadają trzem kolejnym szczeblom nowoczesnego wojska. Samolot otwiera drogę. Zastępuje on kawalerię Rewolucji i Cesarstwa; nie jest on jednak tylko organem rozpoznania, który reprezentowała kawaleria z końca XIX wieku, jest on równocześnie organem uderzenia, przypominającym dywizje ciężkiej kawalerii Wielkiej Armii. Czołgi jednoczą w pierwszej linii dawniejszą piechotę z jej karabinami maszynowymi oraz z artylerią lekką i ciężką. Piechota postępuje za nimi na samochodach.

"Wszystko to stanowi całość, której elementów nie możnaby skoordynować bez radia. Każdy z tych oddziałów pozostaje w stałej łączności ze swym dowódcą niezależnie od tempa z jakim się porusza. Sygnał rzucony w przestrzeń orientuje i łączy ruchy ogromnych mas, rozciągających się na tysiące mil kwadratowych. Pozwala on dowódcy dostrzegać bezzwłocznie to, co się dzieje na peryferiach jego armii i dostosowywać stale układ sił do wszystkich okoliczności.

"Łączność ta istnieje nie tylko w kierunku prostopadłym, to jest poszczególnych szczebli hierarchicznych. Istnieje ona również w kierunku równoległym, pomiędzy manewrującymi obok siebie jednostkami. Nigdy wojska nie zajmowały tak obszernych przestrzeni i nigdy nie przenosiły się z taką szybkością i nigdy nie utrzymywały z dowódcą tak ścisłej łączności.

Gen. Duval przypisuje lotnictwu co raz większą rolę, jakkolwiek sądzi, że Douhet nie miał racji twierdząc, że systematyczne bombardowania lotnicze potrafią zmusić przeciwnika do prośby o pokój. "Przykład Anglii—pisze gen. Duval—osłabił tę koncepcję, nie trzeba jednak iść za daleko w odwrotnym kierunku i wyobrażać sobie, że bombardowania lotnicze mogą być znoszone w nieskończoność bez wywołania ciężkich następstw nie tylko w dziedzinie moralnej, lecz również gospodarczej i materialnej."

Jest to zdanie niezwykle charakterystyczne, ile że wnioski gen. Duval—jak widzimy z cytat—oparte zostały nie na doświadczeniach niemieckich lecz W. Brytanii.

Z tym wszystkim jednak gen. Duval sekunduje obawie swych współobywateli przed możliwością "drugiej wojny." "Odwaga ludności znoszącej bombardowania nie odejmuje nic ich okropnościom. Przez swą ciągłość mogą one być bardzo doniosłe w skutkach i przekroczyć granice wojny."

Jest to i nasze zdanie. Może na skutek naszych obserwacji dotyczących wspaniałego męstwa Brytyjczyków w czasie "Blitzów," nie doceniamy należycie skutków bombardowania w Niemczech. Z właściwej oceny niszczącego działania, jakie sprawiają masowe ataki lotnicze na nastroje ludności cywilnej, płynęły niewątpliwie decyzje Hitlera bombardowania Rotterdamu, ostrzeliwania z samolotów fal uchodźców belgijskich i francuskich, dzikiego zniszczenia Belgradu i miast na Krecie. Były one niewątpliwie jednym z najważniejszych czynników załamania się przeciwnika. Hitler jednak pomylił się zasadniczo co do Wielkiej Brytanii. Równocześnie wie dobrze, że stanu ducha swojej ludności nie może mierzyć według męstwa Brytyjczyków. Dlatego straszliwe musi być w jego oczach widmo 1942 roku, w którym Wielka Brytania przy pomocy amerykańskiej będzie mogła rzucić na Niemcy potężny młot wielu tysięcy ton bomb lotniczych.

To zdaje się mieć na myśli gen. Duval wskazując na przykład Anglii i pisząc o ciężkich następstwach działań lotniczych.

Stefan Jurkowski

ROZSTRZYGNIĘCIE KONKURSU FOTOGRAFICZNEGO

Drugie posiedzenie jury Konkursu Fotograficznego "Polski Walczącej" odbyło się dnia 12-go b.m. w następującym składzie: Eugeniusz Cękalski, Władysław Dziewanowski, Wojciech Jastrzębowski, Stefan Osiecki, Tymon Terlecki. Rozpatrzono 43 prace nadesłane na konkurs w łącznej ilości 448 fotografij. Po przejrzeniu wybrano z tej liczby 20 prac do nagród, odznaczeń i wyróżnień. W wyniku dyskusji przyznano następujące nagrody pieniężne:

I nagroda: £. 25—Lubomir St. Święcicki (Hasło: "Przedporucznik.")
II nagroda: £. 20—Waldemar Arnolt (Hasło: "Amator X").
III nagroda: £. 15—Ryszard Rusiecki (Hasło: "Z wieży czołga").
IV nagroda: dodatkowa: £. 10—Jan Olgierd Bożenko (Hasło: "Boż").

Następnie przyznano sześć odznaczeń (nagrody książkowe):

1/ **Józef Eisler: (Hasło: "Ellen")**—Henryk Sienkiewicz: Ogniem i mieczem (4 tomy); Irena Łukaszewiczowa: Tańce Ludowe; M. Dynowska: Polska w zwyczaju i obyczaju.
2/ **Witold Buchowski** (Hasło: "Torpedy z O.R.P. Piorun")—Ogniem i mieczem; Polska w zwyczaju i obyczaju.
3/ **Oskar Jazdowski** (Hasło: "Wrzesień")—Ogniem i mieczem; Tańce ludowe.
4/ **Jan Hławiczka** (Hasło "Pocisk")—Ogniem i mieczem; Polska w zwyczaju i obyczaju.
5/ **Krzysztof Włoch** (Hasło "Pocisk")—Ogniem i mieczem.
6/ **Józef Olesiński** (Hasło: "Ada")—Polska w zwyczaju i obyczaju.

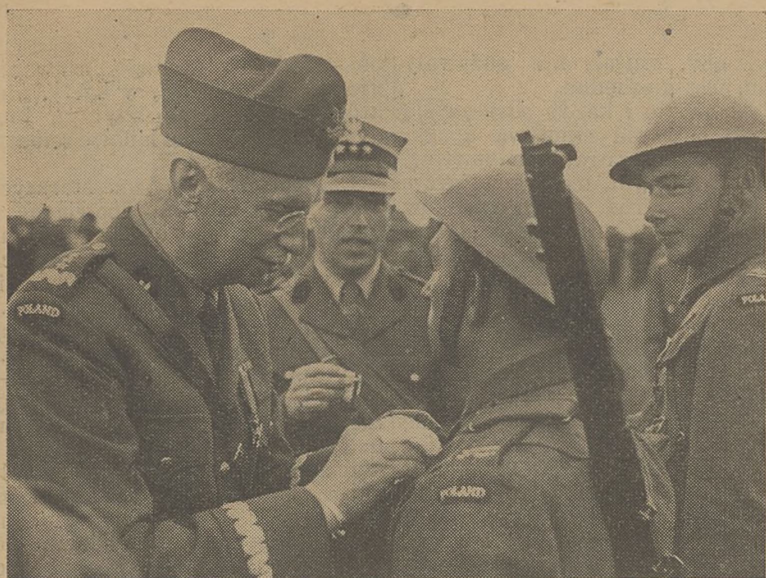
W końcu przyznano dziesięć równorzędnych wyróżnień (nagrody książkowe):

Franciszek Doliński (Hasło: "Burza")—Tańce Ludowe.
Eugieniusz Greszel (Hasło: "Zarzewiak")—Tańce Ludowe.
Janusz Przybyła (Hasło: "Jean")—Tańce Ludowe.
Witold Buchowski (Hasło: "Huragan," "Polska straż nad szkockim morzem")—Tańce Ludowe.
Aleksy Kuczyński (Hasło: "Wolność światu")—Tańce Ludowe.
Franciszek Socha (Hasło: "Głos")—Tańce Ludowe.
Stefan Bałuk (Hasło: "Gapcio")—Tańce Ludowe.
Andrzej Krzyczkowski (Hasło: "Waldi")—Tańce Ludowe.
Stefan Jasieński (Hasło: "Florek")—Polska w zwyczaju i obyczaju.

Wszystkie nagrody pieniężne i książkowe wysyłamy jednocześnie pocztą.

Nagrodzone, odznaczone i wyróżnione prace zaczniemy ogłaszać w najbliższych numerach "Polski Walczącej." Po reprodukowaniu zostaną one przekazane Archiwum Wojskowemu Sztabu N.W. Autorom prac odznaczonych i wyróżnionych (tym, którzy otrzymali nagrody książkowe)—przysługują normalne honoraria autorskie. Redakcja zastrzega sobie prawo ogłoszenia w dalszym terminie niektórych prac nienagrodzonych po porozumieniu się z autorami.

24 Pułk Ułanów



Gen. K. Sosnkowski dekoruje żołnierzy pułku

Biała czapka, biały proporczyk, przecięty jasno-żółtą żyłką—oto barwy pułku, który miał szczęście przybyć z Polski na obcą ziemię prawie w całości, z pułkowym sztandarem, i który integralnie reprezentuje tradycje pułków ułańskich. Nie przeszkadza mu w tym motor, zastępujący dziś konia. Wraz z bratnim pułkiem 10-tym strzelców konnych, 24-ty pułk ułanów jest unowocześnioną jazdą. Jazdą o chlubnej przeszłości bojowej—podczas krwawego września 1939-go roku, podczas walk we Francji, jazdą o wielkiej zwartości wewnętrznej, czego dał dowody w okresie internowania na Węgrzech. Miła jest oku żołnierskiemu ta spoistość, jaką się w pułku odczuwa, atmosfera normalnej pracy i dyscypliny.

Pułk nie należy do najstarszych w Polsce. Powstał w roku 1920-tym, w momencie tworzenia ochotniczych oddziałów kawalerii 2-go rzutu, jako 214-ty pułk ułanów Armii Ochotniczej. Formował się we Lwowie, przy kadrze 14-go pułku; stąd jego numer. Formowany był przez Krechowiaka, płk. Tadeusza Żółkiewskiego, który pociągnął do współpracy organizacyjnej i bojowej kilku swoich kolegów pułkowych. Stąd powinowactwo z Krechowiakami.

Złożony z elementu ochotniczego, nad zwyczaj krótko szkolonego, pułk w niepełnym jeszcze składzie rzucony został w sierpniu r. 1920 w bój. Brał udział w bitwie z Budiennym pod Zamościem, następnie w walkach przeszedł Bug, szedł ku Turzyskowi, który chlubnie zdobył. Dalsza jego akcja w kierunku Horynia doprowadziła do walk o m. Stepań, które zostało zdobyte. Stąd pułk przerzucono w rejon Lidy, na pograniczе Litwy Środkowej, gdzie toczył walki z partyzantką litewską. Po zawarciu rozejmu z bolszewikami, pułk uznano za godny stabilizacji, przemianowano na 24-ty ułanów i zatwierdzono barwy pułkowe. Żółkiewski wyszedł z wojska; opuścili szeregi ochotnicy, z bohaterskim kapelanem, ks. prof. Tarnawskim ze Lwowa, na czele. Pułk rozpoczął normalne życie pokojowe.

Po postojach w Żółkwi, Dębicy i Staszowie, otrzymał garnizon w Kraśniku. Pułkiem kolejno dowodzili mjr. Olszewski i płk. Lang, któremu pułk zawdzięcza doskonałe wyszkolenie i podniesienie w klasie kawaleryjskiej. Powodzenie na manewrach i zawodach sportowych towarzyszyło pułkowi stale. W tym samym kierunku prowadzili pułk następni dowódcy: płk. Halicki i płk. Dworak. Pułk wyróżniał się dbałością o wyszkolenie, o podoficera i żołnierza, o organizację życia wewnętrznego. Nawiązywał też co raz bliższe stosunki z okolicą, w której przebywał. Postawa pułku na rewii kawaleryjskiej w Krakowie, liczne nagrody na zawodach wojskowych i sportowych jednały mu powszechne uznanie.

W początku r. 1937 pułk został zmotoryzowany. Było to niewątpliwe wyróżnienie, choć i wielki przełom wewnętrzny. Jednakże szybko oceniono nowe możliwości bojowe, jakie dawała reorganizacja, zwłaszcza gdy w listopadzie r. 1938 pułkowi wypadło zadanie bojowe przy obsadzaniu Jaworzyny. Nie przeszło ono bez krwawych strat.

Od połowy marca r. 1939 pułk stał w pełnym pogotowiu bojowym pod Rzeszowem, od połowy sierpnia do wybuchu wojny—w Skawinie pod Krakowem, jako część składowa 10-ej zmotoryzowanej brygady kawalerii. Tam go zastał wybuch wojny. W ciągu 18 dni walk, pułk stoczył bitwy: pod Wysoką /2.IX./, pod Kasiną Wielką /4.IX./ w rejonie Rzeszów-Łańcut /8 i 9.IX/ i następnie w rejonie Zboiska pod Lwowem, /15, 16 i 17.IX/. Ponadto—6 potyczek /pod Jordanowem, Zegartowicami, Leszczynami, Jarosławiem oraz dwukrotnie pod Porudenkiem/. Były to początkowo działania opóźniające i powstrzymujące, aż skończyły się ostateczną rozprawą u bram Lwowa.

W tych walkach pułk stracił około 30 procent swego składu w zabitych i rannych /9 oficerów, 187 szeregowych/, jednakże zadania zawsze wykonywał, odpierał wroga i brał jeńców. Zwolniono ich dopiero 19-go września, gdy na rozkaz pułk przeszedł z bronią na Węgry.

Przeszedł ze sztandarem i sprzętem; pełny porządek i świetna postawa jednała mu powszechne uznanie swoich i obcych. W dwa dni dopiero trzeba było oddać broń i wozy Węgrom.

I tu nastąpił moment, dowodzący wartości moralnej pułku: na propozycje rozdzielenia z ułanami i przejścia do obozu oficerskiego, dowódca pułku i wszyscy oficerowie odpowiedzieli odmownie. Znaleźli się w warunkach ciężkich, pilnie strzeżeni, za kolczastymi drutami; nie zachwiali się w postanowieniu dalszej walki. W twierdzy Komarom, potem—w Parkanach pozostawali razem, aż udało się stopniowo wyewakuować wszystkich do Francji.

W połowie listopada 1939 r. zaczął się tworzyć w Coëtquidan pierwszy dywizjon kawalerii polskiej. Tam, a potem w Paimpont, grupowali się ułani 24-go pułku, złączeni w dwa szwadrony. Dalsza organizacja miała miejsce w Bollène i Mondragon. 8 marca r. 1940 nowy dowódca, ppłk. Deskur, wydał rozkaz pułkowy. Po przerwie, pułk zaczynał znów życie pułkowe. Szeregi uzupełniano rekrutami z Francji. Przywrócono barwy pułkowe i uroczyście powitano przybyły z Węgier sztandar.

Broń otrzymywano dość wolno; władze francuskie przyśpieszyły wydawanie broni w miarę rosnących niepowodzeń. Otrzymano nowy sprzęt i szkolono na gwałt motorowców. W końcu kwietnia część swej brygady pancernej gen. Maczek musiał wyprowadzić na front, mimo braków w wyposażeniu i wyszkoleniu.

Poszedł sam z pierwszym rzutem, składającym się z batalionu czołgów i dywizjonu kawalerii motorowej. Reszta miała trzy dni na doorganizowanie się. Grupa gen. Maczka, osłaniając cofających się Francuzów, biła się pod Mondbart i Dijon, wreszcie, opuszczona i oskrzydlona, musiała zniszczyć sprzęt i drobnymi oddziałkami przedzierać się na południe. W tej grupie był 2-gi szwadron 24-go pułku, z plutonem C.K.M. i plutonem motocyklistów. Pozostali byli w drugim rzucie. Ci w St. Varren otrzymali rozkaz przemarszu do portów i dążenia ku Wielkiej Brytanii. 21-go maja r.z. pułk załadował się w Le Verdon. Nikt prawie z pochodzących z Francji ułanów z pozwolenia pozostania nie skorzystał. Zabrano broń i amunicję. Tylko sprzęt motorowy musiał pozostać na lądzie.

W roku zeszłym, pod namiotami, pułk nie mógł 6 lipca obchodzić swego 20-lecia. Raz jeszcze uzupełniał się i reorganizował. W roku bieżącym natomiast święto pułkowe wypadło bardzo uroczyście.

Wydano specjalną jednodniówkę, ze szkicem historii pułku oraz listę poległych. W przeddzień uroczystości odbyto wobec sztandaru i przy dźwięku fanfar apel poległych. Dowódca pułku nadał nowym oficerom i ułanom znaki pułkowe.

Nazajutrz na brzegu morza odbyła się msza polowa, celebrowana przez ks. kapelana pułku. Pułk stał w szyku; na prawym skrzydle, obok sztandaru pułkowego, widniały trzy bratnie sztandary innych oddziałów "Czarnej Brygady." Wodza Naczelnego reprezentował gen. broni Sosnkowski, w otoczeniu dowódcy korpusu, brygady i przybyłych na święto dowódców. Generał przyjął raport, poczym dokonał dekoracji oficerów i ułanów 24-go pułku 6-ciu orderami Virtuti Militari kl. V oraz 41 Krzyżami Walecznych. Wszystkie te odznaczenia Wódz Naczelny nadał za boje we Francji. Wnioski za kampanię wrześniową w Polsce będą rozpatrzone później, ponieważ Wódz Naczelny traktuje 10-tą brygadę kawalerii, jako całość, a wielu jej żołnierzy poległo w Polsce lub jest w niewoli. Piękna defilada zakończyła tę część święta.

Następnie wspólny obiad żołnierski zgromadził wszystkich w koszarach pułku, w wielkiej sali, pięknie ozdobionej barwami pułkowymi, tudzież proporcami innych pułków kawalerii polskiej. Podczas obiadu głos zabrał gen. Sosnkowski, przypominając, że pułk jest mu bliski, bowiem uzyskał stabilizację za jego ministerstwa, był mu podwładny, jako inspektorowi armii, oraz we wrześniu walczył pod jego rozkazami. Wreszcie generał od dawna posiada znak pułkowy. To też jest szczęśliwy, że Wódz Naczelny, nie mogąc przybyć na święto, jemu reprezentowanie swej osoby zlecił. Podniosłe swe przemówienie zakończył gen. Sosnkowski życzeniem, by pułk, który wyszedł z kraju z bronią w ręku, z bronią zwycięsko do kraju powrócił. Kolejno zabierali głos inni dowódcy, przybyli i miejscowi, poczym odczytano depesze, na święto nadesłane. Pułk ze święta wysłał telegramy do Pana Prezydenta R.P., do Wodza Naczelnego i do J.E. ks. Biskupa Polowego W.P.

Po obiedzie gen. Sosnkowski odwiedził kasyno podoficerskie, którego gospodarze podejmowali gości lampką wina. Wieczorem odbył się obiad w kasynie oficerskim.

Pięknym dniem spójni żołnierskiej, w oparciu o tradycję bojową nawiązującej do dalszej walki o Polskę i wolność, było święto 24-go pułku ułanów.

Antoni Bogusławski



Poczet sztandarowy pułku

Z kampanii wrześniowej

Pod Krakowcem

W dniu 12 września 1939 roku na rozkaz dowódcy pułku, płk. D., zostałem odkomenderowany z plutonem C.K.M. do 10 Pułku Strzelców Konnych, który, walcząc z nami wspólnie ramię przy ramieniu, zajmował stanowiska koło małego miasteczka Krakowca, na zachód od Jaworowa. Otrzymałem również rozkaz, aby nawet w najcięższej sytuacji nie utracić cennej broni, jaką są C.K.M-y.—

O godz. 19,15 wyruszyłem z plutonem C.K.M. na dwuch autach w kierunku Krakowca, oddalonego o 10—12 klm. Jazda odbywała się bardzo powoli, ponieważ droga była bardzo uszkodzona przez ostatnie bombardowania niemieckie. Ciemno już było, kiedy dotarłem w rejon Krakowca, lecz orientacja była świetna ze względu na wielką łunę, która unosiła się nad miasteczkiem.—

Po zameldowaniu się u dowódcy 10 P.S.K. ppłk. B., otrzymałem rozkaz zajęcia stanowiska z prawej strony mostu, wzdłuż małej rzeczki i mieć na dozorze ogniowym dużą pustą równinę, rozciągającą się pomiędzy Krakowcem a rzeczką z prawej strony szosy.

Noc minęła spokojnie na zajętych stanowiskach, natomiast wczesnym rankiem oddziały niemieckie rozpoczęły natarcie, poprzedzając go silnym ogniem artylerii polowej i ciężkiej.

Pogoda od samego ranka była piękna, a promienie słoneczne zaczynały prażyć, jak gdyby na zapowiedź mającego nastąpić "gorącego" dnia. Z rozkazu d-cy 10 P.S.K. wysłałem 1 C.K.M. do Krakowca na wzmocnienie szwadronu rtm. K., drugi C.K.M. kpr. W. do innego szwadronu, oddalonego o parę klm. Po chwili st. ułan K. karabinowy C.K.M. wysłanego do Krakowca, zameldował mi przez gońca, że nie jest w stanie dotrzeć do miasteczka z powodu silnego ognia C.K.M. nieprzyjaciela, którego gniazdo znajdowało się z lewej strony szosy, koło jeziora. Ponieważ d-cy 10 P.S.K. bardzo zależało na wzmocnieniu siły ognia szw. rtm. K., który utrzymywał jeszcze wysunięte stanowisko w Krakowcu, poszedłem, aby osobiście rozkaz ten wykonać. Posuwając się wzdłuż lewej strony szosy, mając za zasłonę wysoką trzcinę jeziora, zdołałem dotrzeć do połowy drogi do miasteczka, lecz dalej natrafiłem na tak silny ogień, że dalsze posuwanie się było niemożliwe. Jednocześnie rtm. K. zaczął wycofywać się z Krakowca i C.K.M. powrócił na poprzednie stanowisko ogniowe.—

Około godz. 9,00 rano przybył jeszcze IV pluton C.K.M., któremu wyznaczyłem stanowisko, gdyż jego d-ca ppor. J. pozostał w sztabie 10 P.S.K. Chwilowo zaległa cisza w działaniach, to też w porozumieniu z dowódcą szwadronu C.K.M. 10 P.S.K. zmieniłem stanowiska wszystkich C.K.M., na linię rzeczki, umieszczając karabiny maszynowe prawie na prostopadłym wysokim brzegu, co dawało bezpieczeństwo obsłudze i doskonałe pole obstrzału na całą równinę.

W czasie przesuwania stanowisk zdarzył się ciekawy wypadek: obsługa C.K.M. st. ułana K. wykonała doskonałe stanowisko umacniając go kamieniami, darnią i innym materiałem, co kosztowało dużo pracy, to też rozkaz o zmianie stanowisk przyjęty był z prawdziwym żalem. Po upływie paru minut od opuszczenia tego stanowiska padł w sam środek pocisk artyleryjski. Obsługa tego C.K.M. nie żałowała już swej pracy, dziękując Bogu za ocalenie.

Ponieważ 10 P.S.K. miał 2 C.K.M., ja miałem 5, przeto cały brzeg rzeki był doskonale umocniony i czekaliśmy tylko, kiedy Niemcy ukażą się od strony Krakowca. Wszyscy żołnierze byli w doskonałych humorach, życząc sobie, aby Niemcy ukazali się na polance, gdzie można było zastosować ogień zaporowy. Nie dali długo czekać na siebie, bo w sadzie od strony miasteczka zauważyliśmy wkrótce tyralierę niemiecką. Dałem rozkaz karabinowym, aby przedwczesnym ogniem nie zdradzili naszych stanowisk ogniowych i aby czekali na rozpoczęcie ognia przeze mnie z C.K.M. kpr. M.

W odpowiedniej chwili, kiedy najmniej kompania piechoty niemieckiej znajdowała się w sadzie i w dobrym celu, dałem ognia a za mną reszta C.K.M.—Skutek musiał być widocznie dobry, gdyż Niemcy wycofali się, zaś ogień ich artylerii i moździerzy stał się gwałtowny. Samolot zwiadowczy niemiecki krążył dłuższą chwilę nad nami, wypatrując widocznie położenie naszych stanowisk, co w rezultacie przyniosło celniejszy ogień artylerii, skupiając go bliżej naszych stanowisk, lecz nie zdolny był on uczynić nam szkody, z powodu dobrego położenia naszych stanowisk na stromym brzegu.

Byłyby to rzeczywiście stanowiska nie do zdobycia dla piechoty, to też obsługa C.K.M. drwiła sobie z pocisków artyleryjskich padających przed lub za nami, lecz Niemcy dysponowali również silną bronią pancerną, której jednostki wnet się ukazały, otwierając na nas silny ogień. Niemcy nie mogąc nic wskórać od czoła, zaczęli zachodzić nam od skrzydeł. Dowódca 10 P.S.K. widząc to, zarządził wycofanie się na linię lasu odległą około 1—1½ klm., które wykonaliśmy pod silnym ogniem artylerii i moździerzy. Kpr. M., najdalej wysunięty ze swym C.K.M. na naszym prawym skrzydle, nie słyszał rozkazu wycofania się i pozostając jeszcze na stanowisku, uniemożliwiał ogniem swego C.K.M. Niemcom rozwinięcie się do natarcia. Po wycofaniu się około 500 mtr. zająłem stanowisko z 2 C.K.M. otwierając ogień, aby umożliwić wycofanie się kpr. M.

Gdy osiągnęliśmy linię lasu, było już południe, a ponieważ ludzie byli głodni i zmęczeni od noszenia ciężkiej broni maszynowej i dużej ilości amunicji, d-ca szwadronu C.K.M. 10 P.S.K. zarządził paro-minutowy odpoczynek. Ponieważ w pobliżu było parę studzien z wodą, ludzie rzucili się łapczywie do niej, pijąc i oblewając się nią z wielką rozkoszą.

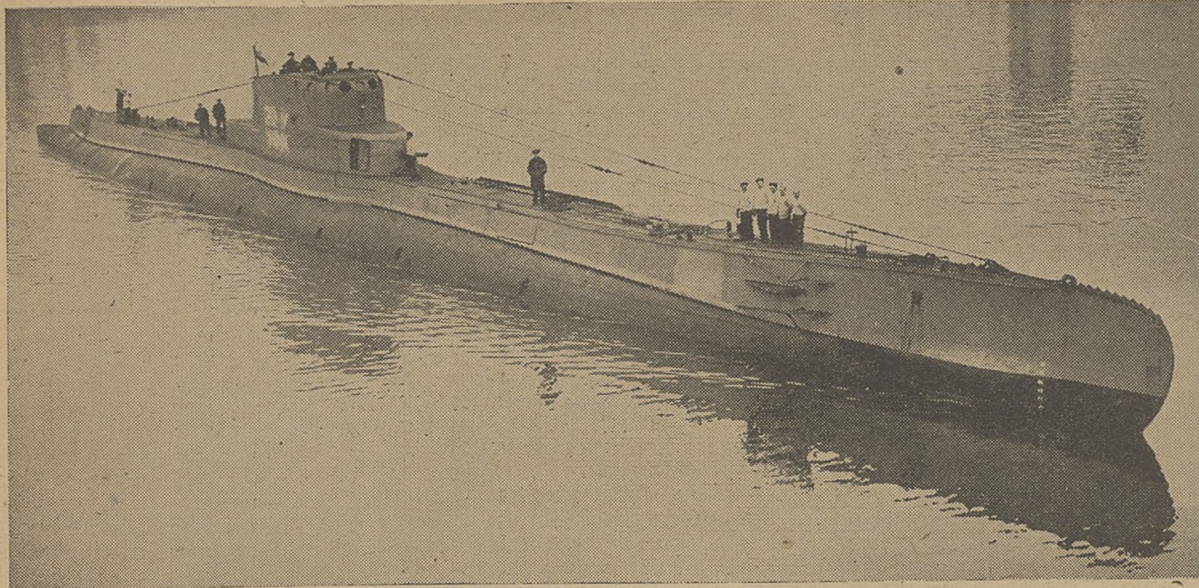
Cały tabor motorowy pułku został wysłany wcześniej do Jaworowa ze względu na możliwość zniszczenia, dowódca 10 P.S.K. dał rozkaz dalszego marszu pieszo. Zastępca dowódcy 10 P.S.K., mjr. S., idąc w straży tylnej, urządzał częste zasadzki na Niemców, zadając im straty. Ludzie byli straszliwie zmęczeni i głodni, gdyż od kolacji dnia poprzedniego nie mieli nic w ustach, z wyjątkiem wody, to też obsługa C.K.M. mimo częstej zmiany w niesieniu sprzętu, upadała formalnie ze zmęczenia. Widząc to, dowódca 10 P.S.K., dał rozkaz aby wszystkie C.K.M-y i amunicja złożone były na jego "łazik." Pomimo że sprzęt był ciężki i obsługa bardzo zmęczona, karabinowi nie bez pewnej niechęci wykonali ten rozkaz, składając broń do samochodu. Ludzie ci mając już duże doświadczenie, rozumieli, czym jest broń dla żołnierza, a zwłaszcza broń maszynowa. Kochali oni swoje C.K.M.-y, czyszcząc je zawsze starannie w chwilach wolnych, by zawsze były gotowe i zdatne do użytku.—

Weszliśmy nareszcie w wielki las, który swoim cieniem i chłodem ożywił nasze zmęczenie. Podczas odpoczynku w lesie około godz. 17,00, doszła nas wiadomość od ludzi cywilnych, którzy byli w lasach, że Jaworów jest już zajęty przez Niemców. Nie potrzeba chyba opisywać naszego przygnębienia po otrzymaniu tej wiadomości, która w rzeczywistości nie odpowiadała prawdzie, o czym przekonaliśmy się później. Obsługa C.K.M. była w szczególnej depresji z powodu oddania swej broni, z którą samochód odjechał do pułku.

Dowódca 10 P.S.K. wysłał patrole rozpoznawcze do pobliskich wiosek, by zasięgnąć wiadomości. Patrole te powróciły, meldując, że w Jaworowie nie ma jeszcze Niemców. Ucieszyliśmy się bardzo, i pułk ruszył dalej marszem ubespieczonym. Nigdzie po drodze nie napotkaliśmy Niemców, jedynie tylko kompanię czołgów naszej brygady tuż przed Jaworowem. Późnym wieczorem dotarliśmy do Jaworowa, ja zaś dołączyłem do swego pułku, który stał już w mieście.

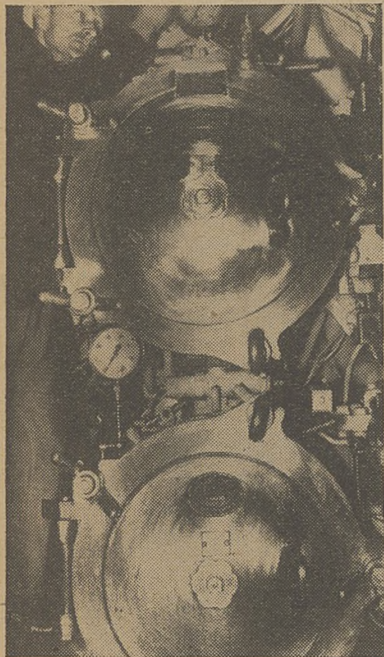
Wł. St.

Na okręcie podwodnym



Gdy okręt jest gotów do wyjścia w morze—przejrzany, nakarmiony materiami pędnymi oraz pożywieniem i wodą, zaopatrzony w na nowo sprawdzone torpedy, gdy każdy z członków załogi pracuje na swoim miejscu—wówczas dowódca zarządza zamknięcie wszystkich włazów, prócz jednego, łączącego pomost kiosku z centralą okrętu. Przez cały okres trwania patrolu, czyli w ciągu dwu lub trzech tygodni czynny będzie, to znaczy otwierany lub zamykany, tylko ten pionowy korytarz, zaopatrzony w stalową drabinkę. Jednym z głównych warunków bezpieczeństwa okrętu jest przepis, że wyłącznie dowódca okrętu rozkazuje otwarcie lub zamknięcie tego włazu, a zwykle sam tę czynność wypełnia.

Wnętrze wielkiego stalowego cygara jest podzielone na przedziały które mogą być szybko oddzielone od siebie masywnymi grodziami. Od dziobu do rufy licząc, mamy następujące przedziały:



Wyrzutnie torpedowe na okręcie podwodnym

aparaty torpedowe, mesa marynarska z zapasowymi torpedami, przedział z mesami oficerską i podoficerską tudzież kuchenką, centralę, maszynownię i przedział rufowy.

Okręt poruszany jest motorami elektrycznymi. Motory te są uruchamiane przez potężne baterie, te zaś—ładowane przez silniki elektryczne, z kolei napędzane przez ropowe Diesle. Jak z tego wynika, okręt musi mieć przed wyruszeniem w drogę wielki zapas ropy i olejów, a w bateriach destylowaną wodę. Diesle konsumują poza tym wielkie ilości powietrza, więc mogą pracować tylko podczas wynurzenia okrętu, gdy właz jest otwarty. Wtedy to właśnie odbywa się ładowanie baterii. Z natury rzeczy okręt podwodny podczas wojny wynurza się i pracuje tylko lub przeważnie w nocy, gdy nie grozi mu zaskoczenie przez samoloty.

W zanurzeniu okręt podwodny poruszany jest wyłącznie elektrycznością. Główna jego praca bojowa wykonywana jest w zanurzeniu, podczas dnia, gdy można obserwować przez peryskopy rozległe przestrzenie morza, samemu nie będąc widzianym. Peryskop jest niezmiernie trudny do dostrzeżenia nawet z niewielkich odległości, tymczasem zaś torpedy są odpalane z odległości paru mil, do pięciu nawet, w razie potrzeby. Kształt okrętu zanurzonego, gdy jest on blisko powierzchni, może być dostrzeżony przez samolot, jednakże, z powodu szybkiego ruchu samolotu i falowania powierzchni morza—bardzo łatwo jest utracić z oczu zarys łodzi, a niełatwo, oznaczyć jej dokładne położenie. Tak więc okręt podwodny niezbyt obawia się pojedyńczych samolotów. Co innego, gdy ma do czynienia z należycie zorganizowaną akcją połączonych samolotów i okrętów nawodnych.

Patrol zaczął się. Dowódca z pomostu wydaje rozkazy. Sternik jest na razie przy nim i steruje za rufą konwojujących nas okrętów. Idziemy wodami brytyjskimi, ale atak lotniczy zawsze jest możliwy. Stąd eskorta poza tym i własne samoloty muszą widzieć, że idzie w morze własny okręt podwodny. Gdy będziemy sami, wówczas wszyscy będą na nas polowali nawet swoi.

Gdy brzeg oddala się, sternik schodzi do centrali. Rozkazy odbiera przez rurę głosową. Idzie nakazanym kursem. Ponadto ma na uszach słuchawki i obsługuje centralę telefoniczną, przekazując rozkazy kapitana do maszyn, podoficerowi dyżurnemu, a jeśli trzeba—do aparatów torpedowych.

Po pewnym czasie klakson oznajmia całej załodze zanurzenie. Diesle przestają huczeć. Z pomostu schodzi jako ostatni dowódca i zamyka klapy włazu. Do dwu sterów głębokości—rufowego i dziobowego—siadają sternicy z wachty dyżurnej. W balastach okrętu otwiera się na rozkaz górne o d w i e t r z n i k i, a wtedy i przez dolne k l a p y wpływa do balastów woda. Łódź obciąża się i sterowana jednocześnie w głąb—zaczyna płynąć pod wodą, aż osiągnie nakazane zanurzenie. Wszystko to nie trwa nawet minuty.

—Sprawdzić szczelność okrętu!

Z poszczególnych przedziałów nadchodzą meldunki do sternika, że szczelność jest sprawdzona. Tymczasem przy pomocy pomp regulowane jest obciążenie innych zbiorników, służących do równomiernego wyważenia okrętu. Okręt źle wyważony nie słucha sterów głębokości i mógłby zejść na niebezpieczną dla siebie głębokość, gdzie nadmierne ciśnienie mas wody mogłoby go zmiażdżyć . . . jak skorupę jajka.

Patrol . . . Przez długie tygodnie—jednostajny tryb życia, podkreślony monotonnym hałasem niezliczonych przewodów powietrznych i wodnych, wijących się po całym wnętrzu.

Co cztery godziny—zmiana wachty. Reszta—za dnia—śpi w kołyszących się hamakach. W nocy, gdy okręt jest na wynurzeniu—wszyscy muszą czuwać. Pobudkę robi się wieczorem, obiad spożywany jest przed północą, kolacja—o świcie. Palić wolno oczywiście tylko wtedy, kiedy jest dostęp świeżego powietrza, czyli na nocnym wynurzeniu.

Jaskrawe oświetlenie elektryczne razi wzrok. Nikt prócz obsługujących peryskop oficerów nie widzi w ciągu patrolu światła dziennego. Marynarza z okrętu podwodnego można później poznać od razu po tym, że schodzi na ląd blady, choć wagi mu przybyło z powodu braku ruchu. Nieprzyzwyczajone nogi łatwo męczą się. Powietrze, słońce i barwy odurzają go: marynarz ten ceni to wszystko, co nam wydaje się powszednie i normalne.

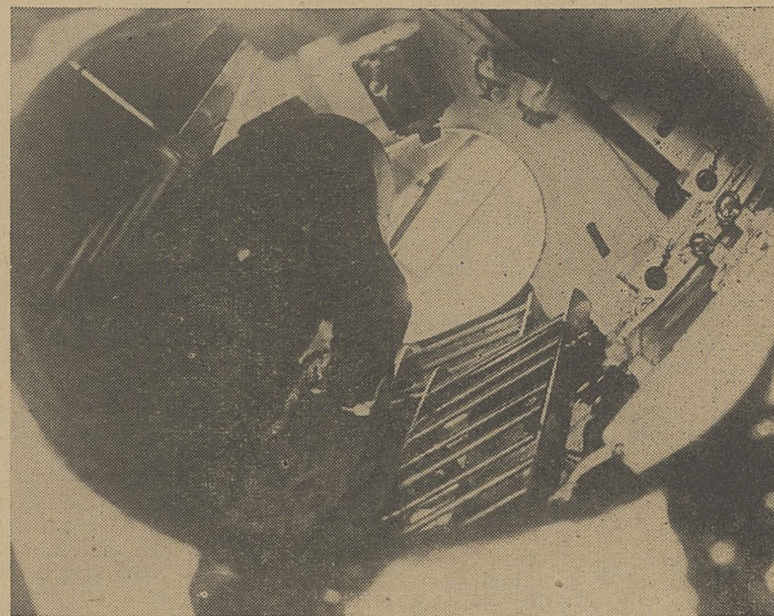
W nocy, podczas wynurzenia, czuwają na pomoście obserwatorzy. Z najwyższą czujnością usiłują przeniknąć wzrokiem mgłę, ciemności, szkwały, lub zwodniczą poświatę księżyca—zależnie od pogody. W razie zauważenia nieprzyjacielskiego okrętu, dowódca bądź zarządza atak torpedowy z powierzchni, bądź szybko zanurza okręt. W wypadkach nagłych specjalny balast, błyskawicznie napełniany wodą, dopomaga do natychmiastowego pogrążenia się.

W złą, sztormową pogodę nie tylko przez pokłady dziobowy i rufowy, lecz i przez pomost nad kioskiem przewalają się grzywacze. Do włazu spływają strugi wody. Wachta na pomoście moknie. Nieprędko wysuszy swe ubrania: wilgoć i brak przewiewu we wnętrzu nie sprzyjają temu. Piecyki elektryczne również nie pomogą. Kto ma reumatyzm—temu praca podwodna nie będzie służyła.

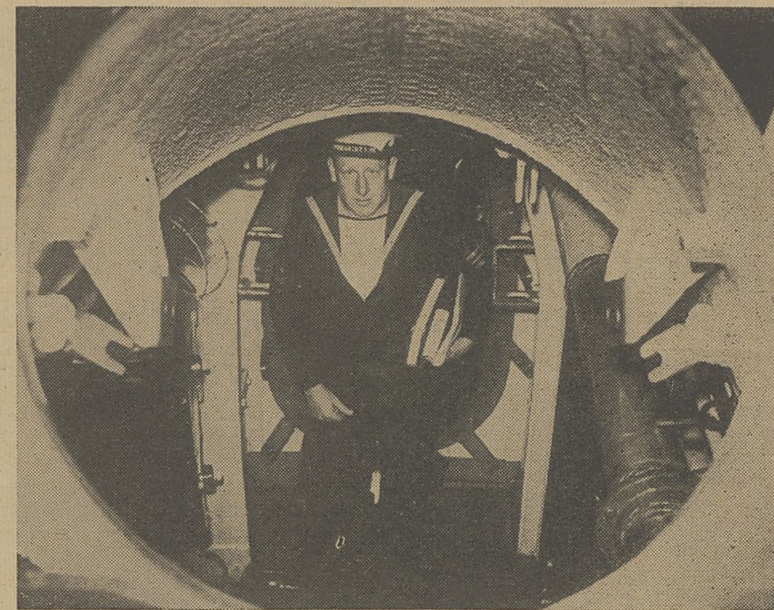
Powietrze we wnętrzu poprawia się podczas wynurzenia, poczem, przez większą część doby musi wystarczyć płucom kilkudziesięciu ludzi. Utrzymywanie wielkiej czystości i dokładne usuwanie odpadków, aby, gnijąc, nie zużywały tlenu, jest niezbędne.

Jest ciasno i każdy porusza się ostrożnie wśród mnóstwa aparatów, manometrów, manewrów, kranów, dźwigni, motorków, przyrządów—i wśród innych członków załogi. Każdy dba o dokładność wykonywanej pracy. Z jednej pomyłki mogą wyniknąć fatalne konsekwencje dla wszystkich. Każdy musi być doskonałym specjalistą w swoim zakresie—a także znać cały okręt. Załoga powinna być przy tym zgrana, szybka, a jednocześnie i przede wszystkim—niezawodna moralnie i technicznie. Są to wybrani. Mniej się wymaga od "podwodników" zewnętrznych wyrażów dyscypliny, lecz zato są oni jak najbardziej opanowani i niezawodni w patrolu bojowym.

Co się dzieje poza wachtami, pracą? Zwykły, normalny tryb życia na okręcie. Trzeba troszczyć się o czystość. O dopomożenie kucharzowi, który sam jeden kartofli nie zdoła dla wszystkich obrać. Od czasu do czasu co raz to kto inny napadnięty jest szałem kokieterii i myje się porządniej, goli, strzyże. Wszyscy jednocześnie nie mogliby tego robić. Podczas nocnego czuwania gra się w loteryjki, w karty, niektórzy zapamiętale czytają, inni dyskutują na różne lądowe tematy. I morskie. . . .



Widok z dołu na właz do kiosku



Widok z góry na właz główny

Czasem któryś ze starszych marynarzy zaczyna opowiadać o przeprawach "Wilka" lub "Orła." Są na naszych okrętach podwodnych marynarze, którzy nie wyszli w ostatni patrol "Orła." Ci pamiętają epopeję bałtycką. Słucha się ich opowieści w ciszy. . .

W szumnie zwanej mesą—ciasnej oficerskiej kabince najczęściej widać twarze, pochylone nad mapami, księgami pilockimi i kluczami kodów. Podczas patrolu okręt odbiera różne rozkazy i informacje, nadawane szyfrem. Radiostacja okrętu nie odzywa się, żeby nie zdradzić swojej obecności. Niewidoczność i milczenie okrętu podwodnego są jego atutami.

Torpedy są przez cały czas patrolu gotowe do odpalenia. Gdy zarządzone jest pogotowie, cała załoga z niecierpliwością i pasją bojową czeka na sygnał "pal!" Bardziej obznajomieni oceniają według stoperów odległość trafionego celu. Wybuch głucho odbija się od burt okrętu. Straszliwy pocisk, kosztujący ponad Ł 2.000 spełnił swoje zadanie. Przez peryskop można zobaczyć jedną z najbardziej tragicznych scen na morzu. . . .

Bywa i odwrotnie. Nieprzyjacielskie trawlery atakują bombami głębinowymi, od których okręt drży i kołysze się w odmętach. Odchodzi się z niebezpiecznego miejsca powoli, aby hałasu śrub nie zdradziły nieprzyjacielskie hydrofony. Manewrując z zimną krwią, dowódca oddala się. Na trawlery szkoda torped, przeznaczonych do niszczenia większych statków handlowych lub okrętów wojennych nieprzyjaciela.

Jednakże żegluga niemiecka jest tak mała i lękliwa, że okazje do torpedowania są rzadkie.

—Co innego na Morzu Śródziemnym!—mówi ktoś.

—A czy u brzegów Norwegii źle było?—wspomina i chwali sobie inny.

—Tak, tam łatwiej coś napotkać. . . .

Gdy już wszystko obgadane—śpiewamy. O wszystkim. Odchodzą nasze polskie krakowiaki, oberki i . . . tanga.

Stanisław Strumph Wojtkiewicz



Wnętrze okrętu podwodnego

Na północy Kanady



Leżę na mokrej trawie śród worków, paczek i tobołków, wsłuchując się w co raz to cichszy szum oddalającego się pociągu i odpoczywam po uciążliwym wyładowywaniu siebie, broni, zapasów żywności, namiotu, śpiworów i kajaku.

Jeszcze dwa dni temu błądziłem po szerokich ulicach Ottawy oglądając wspaniałe wystawy domów towarowych i robiłem zakupy ekwipunku przed udaniem się tu, na północ, gdzieś w okolice Hudson Bay'u, na myśliwską wyprawę. Rano przy pomocy mego przewodnika załadowałem do wagonu bagażowego te same ciężkie worki, zielone canoe i—przenośny piecyk żelazny; z jego wnętrza raz po raz wypadały fajerki lub składana rura kominowa. Przy pierwszym zetknięciu, dla tych swoich właściwości samorzutnego rozkładania się na części składowe, nie wzbudził on mojej sympatii. Był pozatym kanciaty, lekko zardzewiały, drapał ręce, chwytał za ubranie a przy mrozie ziębił boleśnie dłonie. A do tego mój traper darzył go specjalnymi względami, co mnie ostatecznie do niego zniechęciło: umieścił go na honorowym miejscu na siatce wagonu osobowego pomiędzy najcenniejszym ekwipunkiem: bronią, lornetką i aparatem fotograficznym.

Przebierając się w strój traperski, czułem się mocno zakłopotany. Zdawało mi się, że wybieram się na maskaradę i że wszyscy będą się na mnie gapili, jak na wariata: kraciasta niebiesko-czerwona koszula, zamszowa wiatrówka, welwetowa dżokejka, kosmate czarne spodnie i miękkie sznurowane mokasyny. Lecz jak się okazało takich cudaków jak ja, wsiadła do pociągu większa ilość. Pociąg z tego miasteczka gdzie spędziłem ostatnią noc, odchodzi w kierunku północnym dwa razy w tygodniu. Był to dzień otwarcia sezonu polowania na kuropatwy, więc miejscowi nemrodzi wyruszyli tłumnie na łowy.

Miałem możność obserwowania techniki tego polowania. A więc wyżłem był maszynista, który, zobaczywszy z wyżyn lokomotywy na drzewach lub moczarach te smaczne ptaki, gwizdał przeraźliwie i zatrzymywał pociąg. Na ten sygnał myśliwi wyskakiwali z wagonów i poczynali energicznie i gęsto pudłować, nim spłoszone kuropatwy nie umknęły w głąb puszczy. Wobec takiej organizacji drukowany rozkład jazdy okazał się fikcją, tym bardziej, że nieliczni pasażerowie zawczasu prosili o zatrzymanie pociągu na takiej a takiej mili, niezależnie zupełnie od rzadkich i pustych stacyjek. Tak też uczyniliśmy i my, wysiadając, mocno spóźnieni, gdzieś w środku lasu, nad brzegiem płytkiego, a bystrego potoku.

Odpoczywam samotnie, bo mój traper zginął pomiędzy przybrzeżnymi krzakami. Jest przeraźliwie cicho, tylko dzwonią druty telegraficzne i żelazny piecyk, umieszczony pieczołowicie przez swego opiekuna na samym wierzchu sterty tobołów, kiwa na mnie otwartymi drzwiczkami, poskrzypując na wietrze.

Jest już późno. Z takim nowicjuszem jak ja, mój przewodnik nie ryzykuje nocnej jazdy obładowanym canoe i spędzamy noc, pierwszą w puszczy, w opuszczonej, na pół rozwalonej chałupie ukrytej w pobliskim lesie. Zbudowana jest, jak zresztą i wszystkie nasze późniejsze schroniska, z nieociosanych i nieokorowanych okrąglaków, o jednospadkowym dachu z takich samych połowic; wejście i jedyne okno skierowane są na południe. Okno malutkie, a zamiast szyb stary worek z napisem "*best sugar.*" Jest tu kulawy, sklecony z byle czego, stół, chybotliwe stołki i prycza pokryta wyschniętymi gałązkami jedliny. Wiatr hula po takim mieszkaniu i aby zabezpieczyć się od przeciągów, ściany wokoło łoża tapetuje się tekturą z pudełek od zapasów jedzenia.

Jednak głównym i najbardziej honorowanym przedmiotem w każdej takiej chałupie okazywał się nasz żelazny piecyk. Wszędzie miał już przygotowane kamienne łoże i dziurę w dachu, przez którą przetykaliśmy składaną rurę. Momentalnie też zabierał głos i zaczynał szumieć, mruczeć i prychać, buzując wesoło ogniem i buchając ciepłem wokoło. Czerwieniał przy tym z udanego wysiłku i wyraźnie pęczniał z samozachwytu.

Rano załadowujemy bagaże na chybotliwe canoe i ruszamy w drogę. Ja z bronią pomiędzy kolanami wiosłuję na dziobie, w środku piętrzy się sterta paczek, worków i tobołków z nadętym piecykiem na szczycie, a z tyłu wiosłuje mój traper.

Rzeczka kręta, płytka, o brzegach porośniętych niskim, lecz zwartym lasem iglastym. Gdzie niegdzie widać bezlistne olchy lub biały pień brzozy. Krajobraz bardzo smutny, płaski i bardzo mokry. Wszędzie błota, strumienie, rzeczki i jeziora. Można całą północną Kanadę przejechać canoe, przenosząc je przez krótkie przestrzenie na plecach z jednego obszernego systemu dróg wodnych na drugi. Czyniliśmy to i my niejednokrotnie; wywołane to było czasami zmianą szlaku, czasami rzecznymi porohami. Przykre to były i uciążliwe przenosiny, zważywszy na obfitość bagaży, gęsty las i niesforny piecyk. Nie raz łatwiej było brnąć po kolana w lodowatej wodzie kamienistym dnem, niż wyrąbywać przejście wśród zwartych drzew.

Wszędzie miękkie, podmokłe mchy w kolorach zielonych, szarych, żółtych, białych, a nawet czerwonych. Na przestrzeniach wzniesionych, suchszych, las jest rzadszy, wyższy, a mchy ustępują miejsca wysokiej, nigdy niekoszonej trawie.

Spędziłem w tej puszczy trzy beztroskie tygodnie w towarzystwie drogo opłacanego miejscowego przewodnika-trapera, zielonego canoe i żelaznego piecyka. Wędrowałem wodą lub na piechotę, nocując w namiocie lub w opuszczonych przez dawnych właścicieli, traperów lub drwali, na pół przegniłych chałupach, zwanych tu "szakami."

* * *

Na bezludnych przestrzeniach północnej puszczy, która pachnie smakowicie kiszonymi ogórkami i żubrówką, jedynym śladem człowieka są te wyżej wspomniane szaki. Niektóre są zamieszkałe i dziś. Prawo północy, gościnne i pełne zaufania do uczciwości wędrowcy, pozwala zamieszkać w domku i korzystać ze wszystkiego co się w nim znajduje. Nierzadko właściciel jego wychodzi za swymi tajemniczymi interesami na tydzień lub dwa, lecz nie zamyka drzwi na klucz: drewniany skobel zabezpiecza zapasy pożywienia jedynie od wizyty wiecznie głodnego i ciekawego niedźwiedzia; człowiek ma wstęp wolny o każdej porze i, gdy nie ma własnych zapasów konserw, ma prawo korzystać z zapasów gospodarza.

Niejednokrotnie zdarzało się nam nocować w takich szakach i niejednokrotnie, po powrocie do zamieszkiwanego przez nas, zastawaliśmy ślad pobytu nieznanego gościa. Śladem tym był zwiększony zapas drzewa opałowego. Jest to jedyna wdzięczność, którą się okazuje za nocleg i ciepło piecyka. Uczciwość i poszanowanie cudzej własności posunięte jest do przesady. Jedną noc spędziłem w chałupie drwala, Fina, który umarł parę lat temu i którego dopiero w trzy miesiące po śmierci pochował jakiś przechodzień. Do dziś dnia w szaku o przegniłym dachu rdzewieją i butwieją jego rzeczy: piły, topory, przybory kuchenne, buty, ubrania, pościel i książki. Szczególnie przykry był ten szak: po zapasach lekarstw wywnioskować można było, że ten samotny drwal chorował długo i ciężko. Przy smutnej pryczy, w drewnianej ramce, pożółkłe fotografie dalekich przyjaciół czy rodziny i zasmolona książeczka w błękitnej oprawie ze złotym napisem "Plutarch."

Kiedyś, wróciwszy wieczorem do domu, zastaliśmy jakiegoś kościstego jegomościa suszącego skarpetki przy naszym rozgadanym piecyku. Przyszedł pod naszą nieobecność, przyniósł wody, narąbał drzewa i naciął więcej gałązek jedliny na nasze posłania. Tego wieczoru popełniłem gruby nietakt, spytawszy przy kolacji naszego gościa, dokąd idzie. Traper mój, lepiej znający zwyczaje puszczy, spiorunował mnie spojrzeniem i zręcznie zagadał moje nieprzyzwoite pytanie supozycjami co do zbliżającej się zimy, widokami na zimowe polowania, cenami na futra i t.p. Czułem się mocno zawstydzony i do tego tematu już nie wracałem, choć ciekawość mnie piekła, dokąd ten pieszy podróżny może wędrować, kierując się na północ, bez śpiwora i z cieniutkim plecakiem, nie zdradzającym większych zapasów jedzenia. Nazajutrz rano, gdy wykonywał rytualne rąbanie drzewa, wsunęłem dwie puszki *corn beef*'u do tobołka. Wkładając go na plecy poczuł je pod ręką, popatrzył na mnie bystro . . . lecz nie podziękował—udał, że nie zauważył. Powiedział jedynie "*good bye*" i zniknął za progiem.





Drugim gościem, który odwiedził pewnej nocy nasze mieszkanie, był zdrożony, kudłaty pies. Szedł na północ torem kolejowym, co wykazały nam nazajutrz jego ślady. Zboczył z niego w miejscu odpowiednim i najkrótszą drogą doszedł do naszego szaku. Nie dał się pogłaskać, patrzył na nas nieufnie, ale podane mu jedzenie zjadł z apetytem, obwąchał wszystkie kąty i zapałał momentalnym afektem do naszego piecyka. Siedział przez czas cały koło niego, a nawet na noc ułożył się w najbliższym jego sąsiedztwie. Nazajutrz rano machnął ogonem przyjaźnie, choć zdaleka, i z nosem przy ziemi powędrował dalej.

Kiedyś i my stanęliśmy na noc w domku, którego lokatorzy byli obecni: była to para skunksów mieszkająca pod podłogą. Zabroniłem przewodnikowi wykurzania ich z rodzinnego gniazda, ufając, że we własnym mieszkaniu zachowają się chyba przyzwoicie. I rzeczywiście: tego, czego się można było od nich obawiać, żadne z nich nie zrobiło. Ale za to małżonek wracał późno do domu, a zazdrosna połowica robiła mu takie sceny, włącznie do mordobicia, że przez pół nocy oka zmrużyć nie mogłem.

* * *

Spotkać człowieka w puszczy jest rzeczą niemożliwą. Nie ma tu dróg ani ścieżek, a idzie się albo tajemniczymi tropami jeleni lub łosi, albo wprost przedziera się na przełaj przez gęste zwały dziewiczej puszczy. Wędrują na piechotę, poza myśliwymi, nieliczni poszukiwacze złota. Ciężki to jednak proceder i mało popłatny: znalezionego złotodajnego terenu samemu eksploatować nie można. Złoto znajduje się tu w skale i dla wydobycia go potrzebne są przemądre urządzenia fabryczne. Sprzedać taki teren można jedynie wielkim towarzystwom kopalnianym i dostać maksimum 2.000 dolarów. Towarzystwa te jednak są kapryśne, wybredne i mocno przebierają w zaofiarowanych im parcelach. Bo uruchomienie nowej kopalni wymaga stworzenia nowego miasteczka z hotelami, sklepami i barami, przeprowadzenia szosy, kolei oraz wybudowania skomplikowanego młyna do mielenia skały na drobny pył, z którego dopiero odciąga się złoty proszek.

Zwiedzałem takie, prowizoryczne w charakterze, miasteczko, gdzie spotkałem większą ilość Polaków. Cudni to byli ludzie—mocni, prostolinijni, szczerzy, a zahartowani i fizycznie i moralnie na twardej północy. Poza tym czuli się i naprawdę byli Polakami. Spędziłem z nimi dwa dni i wyjechałem od nich bardzo wzruszony i bardzo zalany.

* * *

Puszcza północy jest smutna i niezamieszkała, ale do człowieka bywałego mówi niezliczonymi śladami zwierząt, których się prawie nie widuje, ale tyle się o nich wie, patrząc na zgniecioną trawę, nikłe odciski na mchu, połamane gałązki lub obdartą korę. Niewidoczne są to prawie i tajemnicze ślady, a dla nowicjusza zupełnie niedostrzegalne; jedynie wprawne oko trapera potrafi je zrozumieć i przeczytać. Tylko przesprytne konstrukcje zaporowe bobrów, tamujące bieg strumieni, oraz ich domki, są i dla laika widoczne i zrozumiałe.

Pracowite te zwierzątka spłatały nam raz figla nielada: cały dzień wiosłowaliśmy błotnistą rzeczką, aby rozłożyć obóz na znanej memu traperowi, piaszczystej łasze. Zziajani i zmęczeni dobrnęliśmy wreszcie na miejsce, aby się przekonać, że bobry wybudowały nową tamę i zamieniły miejsce naszego noclegu na romantyczne jeziorko. Już po północy, przy świetle zorzy polarnej, która tu co noc wypisuje na niebie przemyślne białe lub kolorowe desenie wróciliśmy na dawne miejsce postoju. Kląłem serdecznie, a mój zwykle milczący traper wtórował mi z zapałem.

Ciekawy był to człowiek: sześć miesięcy zimy, ostrej w tej okolicy, bo z mrozami około 40 stopni, spędzał samotnie na swoim terenie łowieckim obejmującym przestrzeń puszczy około 100 klm. kwadratowych. Praca jego, jak tysięcy innych łowców zwierząt futerkowych, polega na stałym obchodzeniu terenu i zastawianiu sideł na lisy, kuny, wydry, gronostaje i inne bydlęta. Rezultat tej pracy finansowo wygląda bardzo słabo: przy dobrych cenach na futra i przy szczęściu, przez te sześć miesięcy, zarobić można maksimum 500-600 dolarów, co jest sumą bardzo małą, zważywszy, że żywić się trzeba kupowanymi zapasami konserw i że w ciągu roku wolno zabić jednego tylko jelenia.

Stałe czytanie śladów, co jest niezbędne chociażby do trafienia z jednej części puszczy do drugiej—rozwija u nich zmysł spostrzegawczości i cechy doskonałego detektywa. Wprowadzał też mnie mój przewodnik w zachwyt i zdumienie swymi uwagami na temat śladów ludzkich. Bez omyłki i nad zwyczaj logicznie tłomaczył mi dlaczego, na przykład, wie, że ostatni, którzy nocowali w tym rozwalonym szaku to byli dwaj drwale, że było to na jesieni, że padał wtedy deszcz, że jeden z nich palił fajkę, a drugi papierosy, że szli daleko; a dlaczego ma podłą opinię o wartości moralnej drugiego mieszkańca innego szaku a dobrą o pierwszym jego lokatorze i t.p. Czytał to z kawałków patyków, szczypty popiołu, ogona od ryby, porąbanych gałązek, śladów ogniska i kawałków papy zdartej z dachu. Ślady łosia spostrzegał nie tylko na mchu i trawie, ale i na gałązkach drzew, określając jego wiek na zasadzie naddartej rogami kory. Czuły był na zmianę kierunku wiatru, przepowiadał bez omyłki pogodę i świetnie udawał głosy mieszkańców lasu, czym oszukiwał i czarował nawet tak bardzo czujne i nieufne łosie. Przykładał do ust rurę z kory brzozowej, nadymał policzki i wydawał donośne, chrapliwe wołanie zakochanej łoszy. I gdy w promieniu paru mil jakiś łoś usłyszał to wołanie—to krótki, namiętny ryk idący moczarami gdzieś z oddali, dawał nam znać, że oszustwo się udało i że kawaler pędzi w naszą stronę.

Lecz nie miałem szczęścia: albo wiatr raptownie zmieniał kierunek i zdradzał naszą obecność, albo to ostrożne bydlę w ostatniej chwili traciło zapał, stawało gdzieś w ukryciu i nieruchomo, nie zdradzając swojej obecności, poczynało obserwować wołającą go donnę. Łosie widocznie są bardzo wybredne i zawsze przed przystąpieniem do ostatecznych konkurów wolą się przekonać, czy obiekt jest dostatecznie powabny, dobrze zbudowany, przystojny i czy w ogóle wart jest grzechu. A gdy bydlę przekonywało się, że zamiast długonogiej łoszy ma przed sobą ukrytych w krzakach dwóch obdartych i nieogolonych jegomościów, zakończonych lufami sztucerów—zawracało na miejscu i szło dalej w poszukiwaniu ciekawszych przygód miłosnych.

Po trzech tygodniach bezowocnych prób udało mi się wreszcie zabić jakiegoś kochliwszego widocznie, a przeto mniej ostrożnego, łosia. Obładowany jego rogami i osobistym swoim bagażem, uścisnąwszy twardą, spracowaną dłoń trapera zatrzymuję machaniem czapki pociąg na którejś tam mili i powracam do całego dachu nad głową, pościeli, brzytwy i innych wynalazków cywilizacji. Bez żalu rozstałem się jedynie z żelaznym piecykiem, który przy moim wyjściu nie zaprzestał swego bezsensownego bełkotu i, pęczniejąc z samouwielbienia, nie zdradzał ani żalu ani smutku z powodu rozstania.

Marian Walentynowicz
rysunki autora



Sokół Czechosłowacki w wojsku

Rozległe boisko sportowe w miejscu postoju brygady czechosłowackiej. Trybuny; przed nimi—ławy i krzesła. Na trybunach—liczna publiczność cywilna brytyjska, sporo dobrze noszonych, o wzorowym moderunku żołnierskim mundurów czechosłowackich; na przedzie—generalicja i goście. Obecny jest Wódz Naczelny naszych pobratymców gen. dyw. Ingr, podsekretarz stanu obrony narodowej gen. dyw. Viest, znany nam jeszcze z Warszawy, min. Ripka, wyżsi oficerowie brytyjscy. Obok nich—nowo mianowany poseł R.P. przy Rządzie Czechosłowackim, p. minister Morawski, z polskim attaché wojskowym i przedstawicielem Sztabu N. W. Wkracza poczet sztandarowy, przy dźwiękach pobudki prezentuje broń. Na maszt wpływa czechosłowacka flaga narodowa.

Trzema kolumnami, tętniącym krokiem, wchodzą na boisko piechurzy. Są obnażeni do pasa, spodnie i buty wojskowe, w rękach—karabiny. 360-ciu ludzi. Przygrywa im orkiestra, a oni rytmicznie wykonują ruchy wyszkolenia strzeleckiego. Jest to piękne ćwiczenie, zaznaczające mocno, że jesteśmy w wojsku i że wszystko, co tu się dzieje, czynione jest dla wojska i dla przyszłej walki.

Wyszli, żegnani oklaskami. Wnoszą poręcze, i kilkunastu biało odzianych gimnastyków daje pokaz, o wielkiej precyzji ruchów i wyrzutu. Wydaje nam się, że jesteśmy w sokolni. Bo też ćwiczą przed nami sokoli. Skrzyknęli się za wiedzą swej zwierzchności wojskowej, pracowali początkowo w godzinach poza służbowych i szybko wrócili do sokolej formy. Więcej: stali się krzewicielami wychowania fizycznego, prowadzonego jednolicie i prawidłowo w całej brygadzie.

Przedbiegi do biegu 800 metrowego: pierwsze sto metrów. Osiągnięty zostaje czas 10 sekund i 2 dziesiąte. Jest to wynik rekordowy.

I znów zaroiło się boisko setką młodych ludzi. Torsy ich są brązowe od opalenizny, sylwetki zgrabne i smukłe. Ani grama zbytecznego tłuszczu. Widać, że są w doskonałej formie. A wiemy, że taką formę zdobywa się nie odrazu. To już wynik dobrej pracy przodowników. Świetne ich ćwiczenie przypomina żywo wielkie boisko w Pradze, podczas zlotów sokolich. Widać swobodny wydech klatek piersiowych; ewolucje są wybornie wyrównane i uzgodnione. Budzą ogólny zachwyt.

Z kolei dwóch akrobatów jeździ na motocyklu i przebiega przez boisko sztafeta z ręcznymi karabinami maszynowymi, bardzo sprawnie i ładnie. Potem następuje pokazowa lekcja gimnastyki w zespole 16-tu ćwiczących. Jest to normalna lekcja, jaką rozpoczyna się dzienne ćwiczenia dla rozprężenia sportowców. Ta lekcja warta jest uwagi, bowiem jest typem przyjętym w sokolstwie.

Znów rozrywka dla oka—partia siatkówki, wzbudzająca zainteresowanie brytyjskiej publiczności, wrażliwej na każdą grę sportową. I bieg 800 metrowy, dokonany w 2 minuty 4 i 9 dziesiątych sekundy. Publiczność entuzjazmuje się i krzyczy. Gwar wzrasta, gdy po 12-tu artylerzystów z każdej strony usiłuje przeciągnąć grubą linę. Triumfująca bateria ustępuje miejsca gimnastykom.

Tenże, co poprzednio, zespół ewoluuje na drążku. Znowu stwierdzić można czystość i prężność wykonania, większą jeszcze, być może, jak na poręczach. Zwłaszcza przodownik zespołu jest znakomity. Podobno naczelnik czeskiego gniazda sokolego z Pragi, obecnie—starszy sierżant w szeregach wojska.

Zbliżamy się do końca. Finał biegów daje w wyniku pokrycie stu metrów w 10 sekund i 56 setnych. I nagle do ostatniego ćwiczenia wychodzi na boisko gromada, jakiej jeszcze nie było: 450 ludzi. Odbywają znów śliczne ćwiczenie zespołowe, jak gdyby raz jeszcze podkreślając, że to wszystko, co było, czyni się dla ogółu. Tak każe sytuacja, tego wymaga wojsko. Ale tego też uczył przed laty Mirosław Tyrsz, gdy ideą sokolą przeorał dusze swego narodu. I tę naukę dawały wszystkie na świecie słowiańskie sokolnie.

Pojęli to widzowie. Gorąco brzmiał poklask, którym żegnali schodzących z boiska chłopców. I sprężyli się we wzruszeniu, słuchając czechosłowackiego hymnu narodowego, po którym rozległy się uroczyste dźwięki *"God Save the King."*

Pokaz trwał dwie godziny. Jak z programu widać, były to dwie godziny w pełni wyzyskane. Pobratymcy nasi dumni być mogą z uzyskanych wyników. Gdy patrzyło się w pełne zapału, rozradowane twarze żołnierzy czechosłowackich, stwierdzało się celowość pracy nad wychowaniem fizycznym i słuszność przyjęcia za jej podstawę wypróbowanej, rodzimej zasady sokolej.

Jest rzeczą niewątpliwą, że praca podobna mogła by z powodzeniem być zastosowana i w naszych szeregach. Czechosłowacy obliczają ilość swoich sokołów w wojsku na 700. My, według spisów imiennych, jeszcze nie całkowicie zamkniętych, mamy ich 600. Jest nas tu więcej żołnierza, ale sokolstwo nasze było mniej liczne, niż w Czechosłowacji, bo mu w ostatnich latach do rozwoju nie pomagano. Jest to więc cyfra dla sokolstwa polskiego chlubna. Wiemy też, że są między nami i doświadczeni naczelnicy okręgów i wychowankowie C.I.W.F.-u. i znani zawodnicy, i absolwenci kursów w Kozłówce i w Pradze Czeskiej. Czemu nie mielibyśmy przynieść wojsku nie tylko naszej służby, jako jednostki, ale i zespolonego szyku sokolego? Mógłby on dać wspaniałe wyniki. A miałby i znaczenie moralne.

Nie mamy co do tego wątpliwości, zwłaszcza, że w tej chwili sokolstwo przeżywa swój wielki dzień, do którego tyle lat nawoływało: zgodę dwóch bratnich słowiańskich narodów wobec wojny z Niemcem.

A. Bg.

Bitwa pod Zborowem

1917 — 2.VII. — 1941

Drugiego lipca Czechosłowacy wspominali swoją historyczną rocznicę bitwy pod Zborowem w Polsce. Stoczyła ją w r. 1917 *czechosłowacka brygada strzelecka i osiągnęła w niej zwycięstwo nad Austriakami.*

Pod Zborowem—co dla Czechosłowaków ma znaczenie zarówno historyczne, jak i uczuciowe—wojsko czechosłowackie po trzechsetletniej prawie przerwie wystąpiło samodzielnie na światowych polach bitew.

Czechosłowaccy legioniści, tworzący brygadę złożoną z 3500 *żołnierzy, stanowili część* 49 *Korpusu Gen. Seliwacewa i zajmowali miejsce między pozycjami* 4 *i* 6 *Dywizji Fińskiej.*

Naprzeciwko znajdowały się pozycje austriackie, odległe o jakieś 300 *kroków. Austriacy mieli czas umocnić swoje okopy i tego czasu nie zmarnowali: betonu i drutu kolczastego użyto w wielkich ilościach, a budowniczowie tych umocnień byli w sposób zupełnie wyraźny z nich dumni. Widać to stąd, że zaopatrzyli pozycje w widoczny z rosyjskiej i czechosłowackiej strony napis w języku niemieckim. Głosił on: "Kto zdobędzie te okopy, zwycięży Austro-Węgry."*

Była to rękawica rzucona przeznaczeniu i przezeń podjęta.

Dnia 30 *czerwca rozpoczęto przygotowanie artyleryjskie według ówczesnych zasad. Trwało* 2 *dni, przyczym jakoś tak się stało, żeześrodkowało się przed okopami raczej fińskimi, aniżeli czechosłowackimi.*

Atak wyznaczono na 2 *lipca o godz.* 9*-ej rano. Bez oglądania się na własne straty, przypuszczono natarcie. I Pułk Strzelców Brygady Czechosłowackiej zdobył niebezpieczny wierzchołek* 398 *i otoczył od południa Mogiłę. To umożliwia* 4*ej Fińskiej Dywizji zdobycie Mogiły.* 2 *Czechosłowacki Pułk Strzelecki dostaje się do wsi Cecówki i zdobywa ją.* 3 *Czechosłowacki Pułk porwał za sobą fińskich sąsiadów. Atak postępuje dalej i to znacznie dalej aniżeli zamierzono: aż* 5 *klm. w głąb.*

Brygada Czechosłowacka zdobyła 4200 *jeńców,* 20 *dział, wiele karabinów maszynowych i duże ilości wojennego materiału. Ale przede wszystkim zdobyła pozycje, z którymi hardzi obrońcy złączyli los Austro-Węgier.*

Zwycięska bitwa pod Zborowem wywołała wielkie polityczne skutki dla sprawy czechosłowackiej. Zwycięstwo 3500 *Czechosłowaków podczas ataku na umocnioną pozycję bronioną przez* 12,000 *nieprzyjaciół, wykazało wysoką klasę czechosłowackiego żołnierza i zwróciło uwagę przywódców politycznych na tego uczestnika wspólnej walki.*

N

Przegląd polityczny

Stanisław Grabski, w jednym ze swoich studiów o "psychologii rewolucji," przeprowadzając analogię między Wielką Rewolucją francuską a przewrotem bolszewickim z 1917 roku—wykazywał niezmienność ram historii. Mimo dużego okresu czasu—pisał—mimo całkowicie innych warunków cywilizacyjnych i podłoża kulturalnego w społecznym rozwoju chorobowym, zwanym "rewolucją"—można obserwować te same objawy, ten sam szczytowy punkt nasilenia i te same przemiany.

Rzeczywiście, jeżeli chodzi o oderwane fragmenty rewolucji francuskiej do złudzenia przypominają ponure dnie petersburskie z 1918 roku. Jednak między rokiem 1789 a 1917, między przebiegiem gorączki rewolucyjnej we Francji a chronicznym stanem zapalnym, jaki wytworzył się w Rosji Sowieckiej jest zasadnicza różnica. Rewolucja Francuska była w całym tego słowa znaczeniu — *rewolucją "narodową."* Wyraz "*nation*" i "*national*" należał do najczęściej powtarzanych słów we wszystkich odezwach, przemówieniach, deklaracjach czy to parlamentu czy każdego rządu Pierwszej Republiki. Poczucie odpowiedzialności za losy państwa, poczucie obowiązku jego obrony, pojęcie honoru narodowego, *po prostu miłość ojczyzny*, dotychczas pewien przywilej jednej tylko klasy—został rozciągnięty na wszystkie warstwy społeczne.

Patriotyzm buchnął jak płomień i pochodni tej nie zdołali zgasić ani ciągle bardzo silni rojaliści, ani wszystkie armie maszerujące na Paryż. Pod Valmy, w armii Renu i armii włoskiej walczył lud francuski, zamieniony w naród. I te szybkie zmiany ustrojowe, jakie obserwujemy na przestrzeni kilkunastu a właściwie kilku lat—od rządów Jakobinów, poprzez Dyrektoriat i Pierwszy Konsulat aż do Cesarstwa—są nierozerwalnie złączone z tym narodowym elementem Wielkiej Rewolucji francuskiej.

Inaczej przedstawia się sprawa z przewrotem bolszewickim w 1917 roku. W rewolucji tej brał czynny udział lud rosyjski, to prawda. *Ale nie robili jej i nie kierowali nią Rosjanie.* We wszystkich fazach tego przewrotu ogromną rolę odegrali Łotysze, Żydzi, Polacy, Gruzini, Tatarzy, nawet Chińczycy. Natomiast narodowego elementu rosyjskiego było bardzo mało, na stanowiskach decydujących o losie olbrzymiego państwa—nie było go prawie zupełnie. Rewolucja rosyjska, w przeciwieństwie do francuskiej, zwalczała parlamentaryzm, tworząc rządy elitarne. Lud rosyjski ani do władzy, ani do wpływu na władzę—nie dochodził. I celem ludzi, rządzących Rosją, a nie mających poczucia tej rosyjskości nie była Rosja. *Rosja była jedynie środkiem do uzyskania wpływów ogólnoświatowych, była narzędziem do propagowania pewnych idei, od patriotyzmu, nie mówiąc już o nacjonaliźmie—niezmiernie odległych.* Przeciwnie, z poczuciem patriotyzmu, wytwarzającym się już pod koniec wojny światowej—rząd zarówno Lenina jak i Stalina (zwłaszcza w początkowych okresach) bardzo zacięcie walczył. Odruchy mas rosyjskich tłumiły oddziały Łotyszów, Tatarów, lub plemion turkiestańskich. Władza została scentralizowana, wszelkie ruchy odśrodkowe bezlitośnie zduszone, na miejscu państwowości rosyjskiej wytworzyła się państwowość sowiecka.

Ale został język, zostało etnograficzne, rosyjskie środowisko centralne, została, mimo wszystko, a raczej nawet wbrew wszystkiemu pewna rosyjska tradycja i rozwojowa ciągłość historyczna. I w taki sposób, po okresie ustalania się nowej władzy, po odcięciu olbrzymiego państwa od reszty świata, po wciągnięciu w wir zdarzeń i wymieszaniu innych plemion, począł się wytwarzać pewien swoisty nacjonalizm, pewien "neorusycyzm". Pokrywa reżimu została i jej ciężar gatunkowy nie zmalał, ale pod tą pokrywą zaczęły się tworzyć pewne procesy narodowe, których reżim, zresztą silnie zużyty, tłumić albo nie chciał, albo po prostu już nie mógł. I ostatnie lata przed 1941 stanowią początek prądów, co raz to bardziej oddalających się zarówno od marksizmu, jak, co jest może jeszcze bardziej charakterystyczne od—leninizmu.

Z prądami tymi co raz to bardziej liczył się i wykorzystywał dla swoich ambitnych celów—Stalin. *Prądy te niezawodnie wzmocni i to w bardzo silnym stopniu wojna, narzucona Rosji przez Niemcy.* Albowiem wojna jest zawsze tym okresem życia narodu, w którym ewolucja dojrzewa w rewolucyjnym tempie. I dlatego wypowiedzieliśmy w chwili wybuchu wojny rosyjsko-niemieckiej zdanie, że "dzień 22 czerwca 1941 będzie początkiem końca rosyjskiego bolszewizmu, że w Rosji nastąpią poważne zmiany zarówno w duszy mas jak i w koncepcjach ustrojowych olbrzymiego państwa.

Teza ta jest wprost przeciwna hasłom, które wszystkimi możliwymi i niemożliwym środkami, stara się wmówić w cały świat propaganda niemiecka, pracująca bardzo intensywnie zwłaszcza w Ameryce. Propaganda to jest w niektórych swych fazach po prostu rozpaczliwa, jednak z niemieckiego punktu widzenia, zupełnie naturalna. *Zrozumiemy jej cele, jeżeli zwrócimy uwagę na zasadniczy fakt, że to Hitler wypowiedział wojnę Rosji, że to Niemcy uderzyli na wojska rosyjskie, że to brunatny kanclerz zapowiedział opanowanie całego olbrzymiego imperium w przeciągu kilku tygodni.*

Hitler wywołał wojnę z Rosją nie po to, aby pogorszyć, ale po to, by możliwie najbardziej wybitnie *polepszyć swoje położenie.* Nieprzyjaciela nie trzeba przeceniać, ale nie wolno go również nie doceniać. Hitlera i jego sztab oraz rząd—nie można uważać za grono histeryków, rządzących się odruchami chwili. Znając dokładność i systematyczność niemiecką, można być przekonanym, że wszystkie korzyści płynące z nowej wojny—w Berlinie przewidziano bardzo starannie. Zwycięstwo nad Rosją, ma dać Hitlerowi panowanie nad całym kontynentem Europy—i połową Azji. Ale poza tym należy wykorzystać *i atut samej walki z Rosją,* celem wmówienia w Brytanię i Amerykę, że dążenia Niemiec nie są na Zachodzie, lecz na Wschodzie, że ekspansja niemiecka, skierowana na Wschód nie może w żadnej mierze grozić interesom anglo-saskim, chociażby dlatego, że według tej tezy, Hitler, mający pełne ręce pracy w Polsce, w Rosji, na Ukrainie czy nawet Syberii—nie będzie po prostu miał fizycznej możliwości zajmowania się tymi sprawami, które zaczepiają o interesy zarówno Brytanii jak i Ameryki.

"Poza tym wszystkim — twierdzi propaganda niemiecka—nie wolno zapominać, że walczymy z komunizmem, z tą prawdziwą zmorą ludzkości. Możemy być nieraz i przykrzy, ale cóż to jest w porównaniu ze zbrodniami bolszewizmu! Wojska niemieckie, idące na Moskwę—to awangarda wielkiej, wspólnej cywilizacji zachodniej! Musicie nam życzyć zwycięstwa, albowiem, gdybyśmy przegrali, płomień wszechświatowej rewolucji ogarnie obie półkule, komunizm zniszczy całą cywilizację i cały materialny dobrobyt świata! Niech Ameryka, gotująca się do ciosu w plecy niemieckie, pamięta, że gdy my runiemy, to powstaną czerwone Niemcy, czerwona Anglia, czerwone Stany, że przed pożogą rewolucji światowej nie będzie żadnego ratunku!"

Tak twierdzi Goebbels, tak twierdzą jego agitatorzy we wszystkich krajach, *mający za zadanie szerzyć bakcyle moralnego rozkładu w narodach, walczących z Niemcami.* Trzeba te twierdzenia znać i być najgłębiej przekonanym, że są one, jak wszystko, co z nad Sprewy wychodziło—*kłamstwem.*

Na te hitlerowskie slogany o "podziale interesów" na zachodnie i wschodnie — nabierał kanclerz świat przed wojną. W rzeczywistości i Churchill i Roosevelt doskonale wiedzą, że opanowanie Wschodu przez Niemcy, że utworzenie rządów różnych ukraińskich Lavalów, rosyjskich Quislingów i kaukaskich Mussolinich—*byłoby tylko przygotowaniem do ogromnego, decydującego ataku* na imperium nie tylko brytyjskie, ale w ogóle anglo-saskie. Kwestia czasu, wobec rozporządzania olbrzymimi zapasami surowców i przestrzenią nie odgrywałaby dla Hitlera tej zasadniczej roli, jaką odgrywa dzisiaj. Dlatego więc Churchill ogłasza deklarację niemiecko-rosyjską o "walce z hitleryzmem" i niezawieraniu osobnego pokoju—a Roosevelt zajmuje Islandię i mówi się też o czasowej okupacji Irlandii. Nadzieje na "odrębny pokój" czyli bezkarną konsumpcję przez Niemcy podbitych narodów—rozwiały się, jak dym.

Zawodne są również straszenia świata "dynamizmem prądów komunistycznych." Nie wolno zapominać, że najważniejszym atutem tych prądów *była walka z wojną, walka z militaryzmem, walka z tym ustrojem, który, według określeń Zinowiewa "był samą wojną."* Komunizm, miał, według tej recepty, być następstwem powszechnej świadomości, że "państwa kapitalistyczne niszczą się wzajemnie, a tylko sowiecka Rosja zdołała wojny uniknąć—i w chwili ogólnej klęski, jest wolna, wielka i szczęśliwa." Dzisiaj sytuacja odwraca się. O ile rewolucja bolszewicka głosiła zawsze *hasła przeciwko wojnie*, o tyle obecnie, propaganda sympatyków komunistycznych robi wszelkie wysiłki, *aby podtrzymać anglo-saski zapał wojenny.* Dziś, angielska partia komunistyczna, musi z konieczności najsilniej popierać i wojnę i Churchilla, a komuniści amerykańscy—wszelkie plany Roosevelta. Towarzysz, któryby wypisał dzisiaj na murze hasło "precz z wojną"—zostałby skazany przez sąd partyjny na śmierć. W podstawowym interesie Rosji *leży hamowanie a nawet niszczenie tych wszystkich prądów, któreby utrudniały wojnę Anglii, czy Ameryce.*

W dalszym ciągu, sam Stalin musi wysuwać i rzeczywiście już wysuwa *pewne hasła mające większą popularność, aniżeli silnie zużyte komunały rewolucyjne.* Po 24 latach bolszewizmu—komunizm stracił bardzo na tej przyciągającej sile jaką mógł mieć dawniej.

Wreszcie trzeba pamiętać, że każda wojna wytwarza nowych ludzi i nowe sprawy. Wojna z Niemcami, na pierwszy plan wysunęła w Rosji—*wojsko.* Ten czynnik, trzymany starannie zdala od władzy, *w walce o istnienie państwa—musi siłą rzeczy dojść do władzy.* I w miarę trwania wojny mogą powstać w Rosji — i dopiero wtedy — —*prawdziwe podobieństwa z historią Wielkiej Rewolucji.* Możemy być świadkami początków nowej, wielkiej polityki rosyjskiej. A prawdziwie wielka polityka Rosji, zdająca sobie sprawę z rzeczywistych celów rosyjskich i operująca szerokimi horyzontami politycznymi nie może być sprzeczna ani z niepodległością ani z wielkością Polski.

tk

Z życia obozów

Leć pieśni w dal . . .

Wielu z nas obchodzi rocznicę swego przybycia do Wielkiej Brytanii. Jest to nie tylko rocznica przeżycia upadku Francji, bolesnych zmagań się z losem i osobistych tragedii—ale zarazem rachunek roczny nowych nadziei, nowego życia i nowych działań. Nic dziwnego, że każdy z nas mimo woli robi bilans swych strat i korzyści osobistych, swej jednostki grupowej, czy wreszcie ogólny—Europy i świata.

PIERWSZE WYSTĘPY

Takie wspomnienia "naszły" także dyrygenta Chóru Wojska Polskiego przy okazji robienia bilansu rocznego pracy tego Chóru. Temat ten, raz rozpoczęty—nie chciał się po prostu skończyć i w rezultacie miesięczna odprawa Chóru zamieniła się raczej w "Ognisko wspomnień," niż miała charakter przyzwoitej odprawy, jakiej się "przy wojsku" nauczyłam. Chłopaki z Chóru krzyczeli jeden przez drugiego:

—A pamiętasz jakeśmy to śpiewali na pierwszej Mszy Św?—

—A jak się odbył pierwszy koncert dla Szkotów?

—A jak zapomniałeś słów do naszej pierwszej angielskiej piosenki i musiałem ci śpiewać prosto do ucha, byś sobie wreszcie przypomniał?

—Wcale nie zapomniałem, tylko ty tak fałszowałeś, żem oniemiał z przerażenia — odciął się zaraz "chórzysta."

Uprzytomniwszy sobie, że różdżka oliwna jest rodzaju żeńskiego starałam się wtrącić do rozmowy. /Skarz mnie Bóg, jeśli ten wrzask można było nazwać rozmową/.

—Wolnego, wolnego, panowie, przecie widzę, że coś bujacie, ta skądże znowu rocznica Chóru? Toć sami przyznajecie, żeście 25 czerwca dopiero wylądowali. Gotowam w to uwierzyć i o tym napisać i zblamujecie siebie i mnie na nic. Przecie nie wmówicie we mnie, co już tyle z wami pracuję, żeście się nawet nie wymywszy, z okrętu poszli prosto na koncert.—

Wymówiwszy te niewinne słowa, nie spodziewałam się takiej burzy jaka na mnie spadła. Tu chórzyści naprawdę chórem i hurmem na mnie napadli, tylko—że nie na cztery głosy, lecz jednogłośnie.

—Panie kondaktorze—spytałam wtedy tak popularnie nazywanego dyrygenta /po ang. dyrygent—conductor/—niechże Pan mnie obroni, bo mnie rozszarpią, a potem opowie po porządku jak i co.

—Tym razem mają rację chłopcy—rozpoczął dyrygent, por. K.—A było to tak . . w Carpiagne we Francji prowadziłem całkiem niezły zespół, ale z tego odnalazłem w pierwszym obozie w Hydock-Park w Anglii zaledwie 8-u czy 9-u na drugi dzień po wylądowaniu tj. 26 czerwca. Ucieszyliśmy się ze spotkania i mimo woli poszliśmy sobie na wzgórek "pośpiwać." Powoli gromadziło się wojsko wkoło nas, co chwila ktoś dołączał się /"—bo to śpiewałem w złoczowskim chórze, panie poruczniku"—/ i w ten sposób po pół godzinie miałem 30 ludzi. 29-go na Św. Piotra i Pawła zespół ten—tak ad hoc zebrany—śpiewał już na Mszy Św. w obozie. Trzeba trafu, że był tam wóz transmisyjny z B.B.C. Podobało im się to nasze śpiewanie i 30 czerwca nagraliśmy pierwsze płyty w Manchesterze. Potem przyszedł obóz w Crawford. Tam zorganizowaliśmy się już rzetelnie i 7 lipca mieliśmy już pierwszy publiczny koncert dla Szkotów, na wolnym powietrzu. Był już i nasz tenor-solista, por. B. i regularna konferansjerka, prowadzona przez kpt. Ś., który od tej pory wiele dla nas zrobił, zarówno w aranżowaniu koncertów, jak i tłomaczeniu piosenek. Także zacny ksiądz szkocki, rev. Douglas był pierwszym jakby protektorem Chóru. On organizował występ i popularyzował Chór wśród okolicznych Szkotów. Potem, już w czasie pobytu w Glasgow, naszym ojcem i managerem w jednej osobie był Provost Glasgowa, Sir Patrick Dollan—wielki przyjaciel Polaków. Pod jego protektoratem daliśmy koncert na cel wojenny W. Brytanii w największej sali w Glasgow, w Paramount Picturehouse. A potem zaraz drugi. . . .

—Pamiętam, czytałam nagłówek w gazetach w rodzaju: "2.000 odeszło od kasy, nie otrzymawszy biletu na występ Chóru W.P."—

—Właśnie. Od tej pory markę mieliśmy wyrobioną. Śpiewaliśmy odtąd i dla robotników amunicyjnych w czasie ich przerwy obiadowej, w szeregu szpitali dla żołnierzy, czy dzieci. Tak, zwłaszcza ten występ w wielkim szpitalu dla dzieci zostawił gorące wspomnienie. Ponieważ tam było 5 pawilonów, śpiewaliśmy kolejno w każdym, bo dzieci nie można było ruszyć z łóżek. A później otworzono we wszystkich okna i na pożegnanie zaśpiewaliśmy im z zewnątrz. Dzieci szalały po prostu z radości. To było dla nas wielką nagrodą za trudy. A było tych trudów także niemało. /Tu komendant Chóru, mjr. S., westchnął przytakująco./ Jak zawsze i wszędzie trzeba było rozbijać wiele uprzedzeń i przeskakiwać niespodziane przeszkody. W końcu poszło już gładziej dzięki zrozumieniu dowódcy brygady i poparciu Ref. Propagandy i Ośw. Korpusu. Publiczność lubiła także nasz sposób śpiewania ich piosenek, a rozpoczęliśmy je od słynnej "Loch Lomond." No, a resztę Pani wie. . . . Mamy dziś za sobą 148 występów. Z tego równo 100 regularnych koncertów, reszta to uroczyste Msze Św., akademie czy występy okolicznościowe. Repertuar nasz liczy 61 polskich pieśni i 29 brytyjskich. Śpiewaliśmy już w największych salach Szkocji, jak Paramount i St. Andrewhall w Glasgow, Usherhall w Edinburgu i Greenhouse w Dundee na 4.500 osób /największa sala w W. Brytanii/ a także i małych salach szkolnych dla dzieci, i w pułku szkockim. Przybyło nam w międzyczasie członków Chóru a także bas solista, por. N. Uzyskaliśmy doskonałego akompaniatora w osobie por.C. Mieliśmy szereg występów w B.B.C. Śpiewaliśmy już naszemu Panu Prezydentowi i Wodzowi Naczelnemu, i w naszych obozach i Dowództwu. Śpiewaliśmy także oficjałom brytyjskim. . . .

—Tylko tej ślicznej Królowej jeszcze nie—westchnął jeden z podporuczników.

—Czekaj, co się tak śpieszysz! Królowa wie, że nie straci wiele, jak ciebie nie usłyszy—wtrącił się kolega-bas.

NAJMILSZE WSPOMNIENIA

Oho, widzę, że rozpoczęły się zwykłe "komplementy," więc śpieszę z dalszymi pytaniami:

—Hallo — Panowie koledzy — głosujmy teraz, który z tych koncertów był dla nas najmilszy?—

—Chyba ten w małym skromnym miasteczku L. gdzie nas tak gościnnie przyjmowali, a na drugi ranek w niedzielę, ksiądz na mszy, gdzieśmy mu zaśpiewali, tak śliczne miał kazanie po angielsku i po francusku o umęczonej Polsce i Jej roli w świecie Chrystusa,—a kościół był pełniusieńki, bo przyszli wszyscy chyba mieszkańcy bez różnicy wyznań. Omal się nie popłakałem —powiada jeden "tenor drugi."

—Mnie się najlepiej podobał koncert religijny w Katedrze w Edinburgu—

—A źle ci było w tym pułku szkockim, gdzie podczas podejmowania nas po koncercie w kasynie garnizonu przez oficerów regimentu, na podwórzu koszarowym grała, spacerując wkoło, orkiestra w pięknych strojach szkockich. Wszystko na twoją cześć, he?—

—A ja najwięcej lubię śpiewać na tych koncertach, co to po półtora tysiąca dzieciaków słucha uważnie i wyjaśnień i pieśni. Dzieci to najwdzięczniejsza publiczność!

—Albo ci chorzy w szpitalu? Człowiekowi tak jakoś dziwnie serce mięknie . . . i śpiewa mu się, jak nigdy chyba.

—Co tu dużo gadać. Jak mi jednego dnia stary górnik rękę uścisnął za to, że tak śpiewamy jego piosenki, tom dopiero zrozumiał, co to—propaganda.

—Ja znów się wzruszyłem, gdy w jednym z miast południowej Szkocji gdzie nie wiele Polaków widzą, czekali na nasze przybycie wszyscy dostojnicy miasta w złotych łańcuchach na szyi. Czułem się, psiakość, jak ambasador Rzeczypospolitej—aż westchnął na to wspomnienie jeden z tenorów.

—Jezus, Maria—nie wytrzymali koledzy—co też ta biedna Polska nie musi wycierpieć. Taki ambasador!

U LOTNIKÓW

—A jeden koncert to już jest całkiem poza konkursem—mówi znowu inny—i kości porozbijam takiemu, co by powiedział, że to nie ten właśnie był najmilszy. . . .

Ale nikt nie protestuje, wszyscy z góry wiemy, o który chodzi i wszyscy się zgadzamy. To koncert u naszych lotników,—u "303"! Chór im się podobno bardzo podobał, ale my wiemy jedno—oni podobali nam się napewno jeszcze bardziej! I ten ich album z fotografiami lotników, co drogo kazali zapłacić wrogom za swe życie i ten prosty, jasny uśmiech "fightera," który o każdym takie cuda tak prosto opowiada. I zapomnieć nie możemy tego hangaru pełnego Anglików, Polaków, Kanadyjczyków, Nowozelandczyków i Bóg jeden wie, jakich narodowości jeszcze. I ich żywe oklaski i za "Warszawiankę" i "Alarm" Słonimskiego, układu dyrygenta i za góralskie i Krakowiaki zamaszyste. Tak się rozochocili, że naszych całkiem ze sceny puścić nie chcieli. A dyrygent, który przed koncertem upominał: — "Tylko spokojnie, chłopcy, nie nadwyrężać się, bo to jutro płyty w B.B.C."—jakby całkiem zapomniał o czasie i przestrzeni. Czerwony z wysiłku, dyrygował bez końca. Chór "śpiewał" jak młodzi bogowie /płyty na drugi dzień były oczywiście do luftu/ a po koncercie, już w ścisłym gronie naszych "303-ciaków," żegnaliśmy się również śpiewem. Żegnaliśmy się, bo i lotnicy nam zaśpiewali i to tak pięknie, że przecie sami rozumiecie, musieliśmy jeszcze piękniej. A potem dowódca angielski całego dywizjonu zaśpiewał nam piosenkę, którą sam ułożył na cześć naszych lotników. Jak u nich wszystko, pełno w niej było radości i prześmiewek. Z nabożeństwem patrzyliśmy na młodego dowódcę słynnej eskadry, jakbyśmy zobaczyli obraz nowej, młodej Polski. I gdy później dowiedzieliśmy się o jego śmierci, posmutnieliśmy tylko na chwilę. Bo tam widzieliśmy, że tak właśnie być musi i nie wolno się smucić. Z życia tych chłopców buduje się droga tam . . . do domu! Początek dają stąd oni—lotnicy i marynarze—gdy wojsko lądowe musi jeszcze czekać rozkazu. . . .

—Cóż to się pani tak na tych lotników zapatrzyła?—zaczęli mi dokuczać—wiemy, wiemy, wolałaby pani tu zostać, jak z Chórem wracać, co?

—Pewnie, że wolałabym—odpowiedziałam, bo z doświadczenia wiem, że nie można dać się zjeść w kaszy, bo dopiero by była bieda. Żyć by nie dali biednej przedstawicielce służby pomocniczej kobiet.

PRZYJĘCIE U SZKOTÓW

Toć i ja, Chwała Najwyższemu, mam już około kopy tych ich koncertów za sobą. I choć nieraz wracamy dobrze zmęczeni i wyczerpani, a po takim "Weekendzie" czeka cały tydzień normalnej pracy—Chór wie i czuje, że nie tylko służy propagandzie muzyki i pieśni polskiej, ale zacieśnieniu węzłów przyjaźni polsko-szkockiej. Wykazują to przemówienia Szkotów—czy to wielkiego przyjaciela Polaków, Lorda Elgina, czy to przedstawiciela górników lub szkół. Znają już historię naszego kraju i naszego udziału w tej wojnie, lubią wojsko polskie i dają temu dowód w sposób nieraz tak wzruszający, że tomy by o tym pisać można. Stąd stosy korespondencji z zamówieniami na koncerty na wiele tygodni na przód.

Dobrze, że mnie nie spytali, który z ich koncertów lubię najwięcej. Bo zdziwiliby się mej odpowiedzi. Oto najwięcej lubię, gdy zmęczeni, wracamy busem "do domu." Tak zmęczeni, że chłopcy zaklinają się, że co najmniej miesiąc nie będą mogli śpiewać. W początku mej wędrówki z nimi wierzyłam temu. Teraz—ani za grosz. Bo wiem, że niedługo zaczną coś nucić pod nosem w takt bezszelestnych prawie opon, a później śpiewać, śpiewać pełnym głosem i z całego serca—już tylko dla siebie. I płyną kujawiaki i dumki i góralskie. . . . I o Jasiu, co poszedł na wojnę, lecz "wróci do ciebie, dziewczyno, wróci"—I udaję, że nie słyszę, gdy śpiewają:—"A nie mówiłem ci, Anielciu, nie chodź do lasu z kądziołką" —co stanowi aluzję do mego przekręconego imienia, bo wiedzą, że tego nie cierpię. Ale oto już przeszli na "Przepióreczkę," a teraz serenada, a teraz modlitwa wieczorna, wreszcie hasło Chóru:

Leć pieśni w dal, o leć, jak grzmot,
Płomienie żądz nadziemskich wznieć,
Ku słońcu zwróć wirowy lot—w bezkresną dal
Leć pieśni w dal!

Nim zniknie moc dusz i ciał,
Nim zgaśnie serc promiennych żar,
Niech w pieśni drży młodości szał,
Młodości szał i czar! . . .

Czekając na rozkaz, ten, po który przyjechali, dla którego są w wojsku, Chór W.P. starał się nie zmarnować roku. Członkowie tego Chóru poświęcili swe wolne od zajęć chwile—krzewieniu polskiej pieśni.

Amelia Laskowska

POSZUKIWANIA OSÓB

Odpowiedź na poszukiwania /Dziennik Polski/

STANISŁAW KUCHARSKI — ukończył podchorążówkę w Comblessac strzelców Podhalańskich. Odbył wraz z Brygadą kampanię norweską i wziął udział w bitwie pod Narvikiem, gdzie został odznaczony "Krzyżem Walecznych." Po powrocie Brygady w czerwcu 1940 roku do Francji przedostał się wraz z rozbitkami brygady z Francji okupowanej do nieokupowanej i prawdopodobnie przebywa tam do dziś dnia w obozie pod Nimes. Może być jednak, że udało mu się wyjechać do Anglii. Widziałem go ostatni raz w listopadzie 1940 roku we Francji.

Adolf Bocheński

Dalej bracia, na przód Marsz!

Da - lej bra - cia na - przód marsz. W płomienn-nej pie - śni słów
niech hu-czą sur - my trąb jak ryk roz - żar - tych lwów
wsród świ - stu kul i bomb! Za wol - ność i za kraj
za zglisz-cza mę - kę ból po - nie - siem Niem - com śmierć
Hu - ra, hu - ra, hu - ra.

I

Dalej bracia, na przód marsz!

W płomiennej pieśni słów
Niech huczą surmy trąb,
Jak ryk rozżartych lwów! . . .
Wśród świstu kul i bomb. . . .
refren (dwa razy)
Za wolność i za kraj,
Za zgliszcza, mękę, ból. . . .
Poniesiem Niemcom—śmierć! . . .
Hura, hura, hura! ! !

II

Dalej bracia, na przód marsz!

Niech zalśni broni stal,
Niech zabrzmi zemsty śpiew,
Jak płomień idąc w dal
Zapłacim krwią za krew. . . .
refren
Za wolność i za kraj. . . .

III

Dalej bracia, na przód marsz!

Sztandary wznieśmy w zwyż
Przez bitew dążąc znój,
Bo dzierżąc miecz i krzyż
W zwycięski idziem bój. . . .
refren
Za wolność i za kraj. . . .

W obozie lotniczym w Anglii

Słowa i muzyka: W. A. J. Kisielewski i St. Kornacki

Wojna na morzu

Okupacja Islandii przez wojska Stanów Zjednoczonych i rozkaz wydany flocie amerykańskiej, "aby poczyniła wszelkie kroki dla utrzymania bezpieczeństwa na liniach, łączących Stany z amerykańskimi punktami strategicznymi na oceanach" są to bezsprzecznie najważniejsze wydarzenia w "bitwie o Atlantyk." W ten sposób, o ile Hitler nie odważy się zaatakować okrętów amerykańskich, strzegących komunikacji z Islandią, Ameryka "przybliżyła się" do Wielkiej Brytanji o 3/4 drogi. Jakie to ma olbrzymie znaczenie w tych gigantycznych zmaganiach nie potrzeba chyba już tłomaczyć. Niejednokrotnie omawialiśmy tę sprawę: skrócenie linii strzeżonej przez okręty brytyjskie, zacieśnienie ubezpieczenia, o wiele mniejsza ilość potrzebnych okrętów konwojujących, ulga dla lotnictwa morskiego i t.d., i t.d. Gdyby zaś Niemcy odważyli się na zaatakowanie okrętów amerykańskich lub statków ubezpieczanych przez te okręty—wówczas bezwględnie nastąpiłby moment jawnego przystąpienia Stanów Zjednoczonych do wojny wraz z tego państwa ogromną Flotą Wojenną.

Zajmując Islandię-wyspę i Islandię-bazę morską Stany Zjednoczone jednocześnie zapobiegły szturmowi Niemców na tę wyspę, który gdyby im się udał, przesądziłby rezultat "bitwy o Atlantyk." Należy więc stwierdzić, że polityka prezydenta Roosevelta jest mądra, ostrożna i przewidująca. Wiele się mówi obecnie w Ameryce i pisze na temat dalszych okupacji "zabezpieczających," któreby należało zrobić. Sam fakt podobnych głosów opinii amerykańskiej jest bardzo znamienny i pocieszający, a że wieści owe mogą być niedalekie rzeczywistości potwierdza nagłość i śmiałość operacji okupacyjnych Islandii i Grenladii, oraz założenie baz amerykańskich (za zgodą Wielkiej Brytanii) w koloniach angielskich w Centralnej Ameryce (Trinitad i wyspy Bahama) oraz w Ameryce Południowej (Brytyjska Gujana).

Postępowanie prezydenta Roosevelta przy tym wszystkim nacechowane jest daleko posuniętą ostrożnością i rozwagą polityczną. Prezydent woli zaskoczenie czynem, niż zaskakiwanie gadaniem, pomimo, że dla pozyskania opinii amerykańskiej wypowiedział tyle świetnych mów. Każda jego mowa jednak była "ogniem zaporowym" i "ogniem przygotowawczym", po którym następował atak czynów. Na odcinku morskim tak było z rekwizycją statków niemieckich czy zależnych od Niemców, tak było z wysyłką materiałów wojennych na statkach amerykańskich przez Morze Czerwone, tak było obecnie z okupacją Islandii.

Bardziej krewki od Prezydenta Roosevelta Sekretarz Stanu Marynarki Wojennej Pułkownik Knox w swoich przemówieniach jest strażą przednią potężniejącego w Ameryce prądu całkowitej pomocy Wielkiej Brytanii i jej Sprzymierzeńcom. Jak zwykle straż przednia często zagalopuje się za daleko. Ostatnio Pułkownik Knox musiał nawet "kategorycznie zaprzeczać," że okręty wojenne amerykańskie otrzymały rozkaz "akcji czynnej" przeciw niemieckim okrętom wojennym. Mają one jedynie "reagować na prowokację", a za "prowokację" będzie uważane każde naruszenie "strefy bezpiecznej", strzeżonej przez okręty Stanów Zjednoczonych. W prostym języku polskim takie "kategoryczne zaprzeczenie" nazywa się: "nie kijem go, to pałką".

* * *

Dotąd nie wiadomo dokładnie co właściwie dzieje się z flotą wojenną rosyjską na Bałtyku. Po zajęciu Rygi i Tallina pozostał bolszewikom jedynie Kronsztadt, jako baza, a w razie prawdopodobnego zdobycia Leningradu Eskadra Bałtycka znalazłaby się w położeniu prawie bez wyjścia. Niski stan wyszkolenia załóg i dość wątpliwe "morale" nie daje podstaw do przypuszczenia, że okręty sowieckie spróbują "przebić" się przez cieśniny bałtyckie na Atlantyk. I czy to jest obecnie możliwe? Dania i Norwegia są całkowicie w rękach niemieckich, a Bełty Duży i Mały są o wiele za płytkie, by mogły przez nie przejść okręty liniowe i krążowniki. Zund zaś napewno jest szczelnie zaminowany. Chociaż . . . Kto wie! Przecież Niemcom napewno sam Kanał Kiloński nie może wystarczyć dla ożywionego ruchu transportów morskich, który zapanował między Niemcami Zachodnimi, Francją i Holandią, a portami bałtyckimi wobec "zatkania" kolei niemieckich i spustoszeń porobionych przez R.A.F. Ale na takie przedsięwzięcie trzeba mieć załogi natchnione takim duchem, jak nasze załogi "Orła" czy "Wilka".

Jaką marynarką wojenną rozporządzają Rosjanie? Jest to pytanie dość trudne, nawet jeśli się ma znakomite wydawnictwo angielskie w ręku p.t. "Jane's Fighting Ships." Na Bałtyku mają się znajdować 2 okręty liniowe z 3 posiadanych przez Sowiety. Są to stare okręty z r. 1911 przerobione w latach 1926-31: "Marat" (dawny "Petropawłowsk") i "Oktiabrskaja Rewolucja" (dawny "Gangut"). Stan ich bojowy ma być podobno "niezadawalający." Uzbrojenie: 12 dział 12 calowych, 16 dział 4, 7 calowych. (Trzeci okręt liniowy tej klasy ma się znajdować na Morzu Czarnym—"Pariskaja Komuna", (dawny "Sewastopol").

Na Bałtyku są jakoby 4 nowoczesne krążowniki, wykończone w latach 1936-1940, po 8,800 ton każdy (9 dzial 7,1 calowych, 6 dział 4 calowych p.l., 4 samoloty i 1 katapulta): "Kirow", "Maksim Gorkij", "Kubyszew" i "Ordżonikidze", oraz 3 lotniskowce: "Krasnoje Znamja", "Woroszilow" i "Stalin" po 12,000 ton każdy z 22 samolotami na pokładzie. Krążowniki starszych typów: "Krasnyj Kawkaz", "Krasnyj Krym" i "Czerwonaja Ukraina" mają się znajdować na Morzu Czarnym.

Rozporządzają Sowiety natomiast poważną flotą kontrtorpedowców i okrętów podwodnych, z których wiele jest nowoczesnych i pełno wartościowych (z poprawką na załogi jako niewiadoma x). Jest to 36 kontrtorpedowców klasy "Stremitielny" (1,800 ton każdy), wielki kontrtorpedowiec "Taszkient" (na Dalekim Wschodzie), 15 kontrtorpedowców klasy "Leningrad" (2,000 ton każdy—przeważnie, na Dalekim Wchodzie i na Morzu Czarnym) oraz starszych typów kilkanaście (4 klasy "Petrowski", 2 klasy "Karl Marks", "Frunze", 9 "Uritskij", wraz z kilkunastu bardzo starymi torpedowcami na Morzu Czarnym).

Do tego doliczyć trzeba 2 nowoczesne patrolowce (800 ton—"Dzierżynskij" i "Kirow") i około 130 ścigaczy (od 6 do 35 ton). Okrętów podwodnych Sowiety mają podobno około 170 sztuk różnej wielkości i bardzo różnej wartości bojowej. Ile z nich jest na Bałtyku na razie nie wiadomo. Również nie wiadomo w jakim stanie jest kanał (swego czasu bardzo reklamowany) łączący Bałtyk z Morzem Białym i czy możliwe jest przeprowadzenie kontrtorpedowców i okrętów podwodnych przez ten kanał.

W każdym jednak razie nie wydaje się możliwe, aby Niemcy mogły zdobyć okręty sowieckie w stanie nadającym się do natychmiastowego użytku. Istnieją natomiast możliwości uratowania najnowocześniejszych z tych okrętów lub takiego zniszczenia ich, by nie mogły służyć nieprzyjacielowi.

Londyn 12 lipca 1941 roku.

Bohdan Pawłowicz

Pod wysokim protektoratem J.Em.ks.Kardynała Hinsley'a, Arcybiskupa Westminsteru Świetlica Polska na Brixton Hill urządza

WIELKI KONCERT ku czci I.J. PADEREWSKIEGO

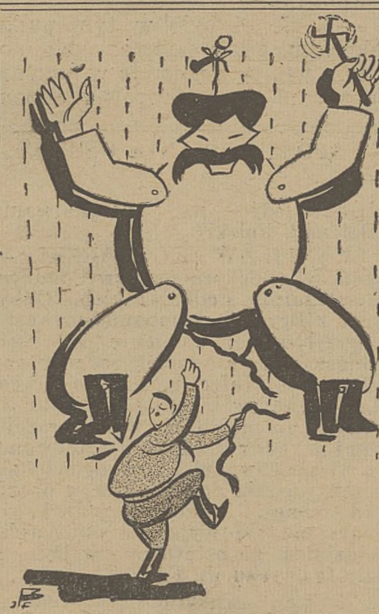
na rzecz odbudowy zbombardowanej katedry katolickiej Św. Jerzego, Southwark, w wykonaniu solowym wybitnych artystów polskich: prof. Józefa Cetnera, Tadeusza Szymonowicza i Stanisława Łobaziewicza. Akompaniament Jadwigi Szymonowiczowej. Konferansjerka: p. Paulina Cieńska.

Sala koncertowa: Westminster Cathedral Hall, Ambrosden Ave. (tuż koło Victoria St.), w środę, dn.23 lipca 1941 o g.5.30 pp. Cena biletów: 5/, 2/6 i 1/.

Ze względu na cel Świetlica Polska na Brixton Hill prosi gorąco społeczeństwo polskie o liczny udział w koncercie.



Wańka-wstańka



Teoria względności



O gwiazdeczko, coś błyszczała . . .

rys. Jerzy Faczyński

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY.
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. I.e piętro.
Redaktor przyjmuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh.1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh.3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam—sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 44, Brook Street, W.1. Tel., MAYfair 6543.

Printed for the "Polska Walcząca," by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.